

SYN BURMISTRZA

OBRAZEK Z POWSTANIA 1863 ROKU
NA TLE STOSUNKÓW W WIELKOPOLSCE.



przez

T. CHODZIŃSKIEGO

~~DAR
RADY POLONII
AMERYKAŃSKIEJ~~



Drukiem
Dziennika Związkowego i Zgody
1405-08 W. Division st. Chicago, Ill.
1917.



38620

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0269994

I.

Wilia Bożego Narodzenia.

Biją serduszek miliony, rumienią się lica, błyszczą oczęta oczekiwaniem, nadzieją, pragnieniami. Bo dziś spłynie z wysokich niebios miła „Gwiazdka“, dobry Jezusek zstąpi po wstędze, z promieni księżycowych utkanej, dzieci i wszystkich serc niewinnych przyjaciół, i zapali choinkę i sypnie z góry złocistymi jabłkami i orzechami. Temu przyniesie w darze konika, owemu pałusik, tej fartuszek, owej lalkę.

Dziatwa pyta: a cóż mi gwiazdka przyniesie? i klęka w kąciku, powtarzając modlitwy, aby Gwiazdor zamiast podarku brzozonej różgi nie przyniósł.

Wilia Bożego Narodzenia!...

Jest to jeden z tych nie wielu dni w roku, w którym prawie cała ludzkość od milionera począwszy do nędzarza, co w zgniłym oddycha sklepie, potęą się staje, bo wesele drobnych dzieci, których pragnienia nie wielkie bywają, każe zapomnieć na godzin kilka o bezlitosnym samolubstwie walki o byt. Jakże ci mało do szczęścia potrzeba, człeku — mówią twarze dziecięce — a ty chcesz więcej, koniecznie więcej.

Rzecz dziwna! jak ziemia szeroka i daleka, wiadać dziś tylko szczęśliwe twarze dających i biorących, słyhać śmiech, pytania, obietnice poprawy, czuć woń najczystszej żywej poezji, bo rodzinnej — ale w Polskich dworach, dworkach, chatkach, chat-

kach smutno dziś. Nie rozpalają choin, nie weselą się śmiechem prawdziwego szczęścia; wszystkie twarze smutne, zapatrzone w ziemię, odwracają się szybko, z bojaźnią kiedy ktoś lub coś za oknem stuknie, bo Moskał już zaczął po swojemu gospodarować, bo oto kończy się rok 1862, a 1863 rozpoczyna.

Są chwile, które wystarcza wymienić bez komentarzów, aby skutecznie podziały. Tak grecki malarz a po nim Artur Grottger, zasłonili twarze, których boleść przewyższała ich geniusz. Zasłoniwszy, wypowiedzieli najwyraźniej, o co im chodziło.

Rok 1862 się kończy... Niechże te cztery słowa wystarczą na oznaczenie kolorytu ówczesnej Polski. Gdzież pióro równie bolesne?

W ratuszu powiatowego miasta Wielkopolski, leżącego nad granicą Kongresówki, świecą na piętrze frontowe okna, zwrócone na rynek. Tam mieszka pan burmistrz, pozasłużbowy kapitan pruski Frankenberg. Miasto samo niech się nazywa „Tobolno“.

Pan burmistrz chodzi wielkim krokiem po służbowej komnacie. Ściany tego pokoju zastawione są szafami, w których leżą akta miejskie; między oknami stoi biurko, a na nim widać świeżo otwarty list, wystósowany do burmistrza od poznańskiej rejencji. Naczelny prezes odwołuje się do patriotyzmu urzędnika, i poleca mu czuwanie nad ruchem pogranicznym.

Nic dziwnego, bo Frankenberg jest urzędnikiem, a urzędnik powinien służyć chlebobawczemu rządowi. A jednak...

Burmistrz chodzi po komnacie z opuszczoną głową, z rękoma założonemi poza sobą. Krok nie-

pewny, wahający się, zdradza niepewność duszy, pochylona głowa świadczy o brzemieniu, które nie pozwala czołu podnieść się swobodnie. Czasem przystaje i mruczy coś pod nosem, to znów spojrzy lękliwie w stronę biurka, gdzie list leży, a wówczas biegnie szybciej i mówi głośniej:

— Verflucht, diese Polacken.

Ale po każdej takiej klątwie odwraca się w stronę drzwi, wiodących do pokojów żony, i przyspiesza kroku, milcząc.

Kiedyś musiał być ładnym paniczem, bo dziś jeszcze, choć liczył sześćdziesiątą zimę, zadziwiał wyrazistą twarzą i elegancją ruchów. Włos, choć siwy, okrążał dziś jeszcze piękną głowę o wysokiem czole, wieńcem długich kędziorów. Postać niewielka, ale silnie zbudowana, poruszała się lekko, nad wiek elastycznie. Pewności ruchów nie miał, jak ich nie ma żaden urzędnik, który przywykł do różnych ukłonów — uniżonych w górę, protekcyjonalnych na dół. Kilkanaście lat, spędzonych między aktami, wyciska piętno charakterystyczne na tego rodzaju osobistościach. Pokora i pycha, niewolniczość i arogancja, bojaźń i zuchwalstwo, wytwarzają coś mięszanego, na co niema imienia, a z czego się natychmiast odgaduje urzędnika, stojącego na niższym szczeblu hierarchii. Tylko samowiedza własnej wartości i siła przekonań podnoszą głowę człowieka, ale dźwigni tych nie może znać urzędnik, któremu tylko tak myśleć i czuć wolno, jak mu każą. A jeśli śmielszy, umiał sobie odrębność zachować, okazuje ją chyba w prywatnych kołach rodziny lub przyjaciół. Frankenberg nie zawsze się kłaniał. Jako pruski oficer i syn pańskiego imienia należał swego czasu do arystokracji prowincjonalnej. Ale grosz gdzieś poszedł; wzięto szlify, bo żydzi

się uparli, a pan von Frankenberg dziękował, kiedy go rząd burmistrzem zrobił.

Wkrótce potem rozkochał się w pięknej Polce, córce podupadłego szlachcica, a że panna, której o chleb chodziło, nie chciała wyjść za protestanta, stało się, że p. Frankenberg herezyi się zaparł, a nawet biorąc ślub w kaolickim kościele, przyrzekł, że dzieci po polsku wychowa. Już wówczas dostał nie miłe monitum z rejency, ale miłość zwyciężyła poddaństwo urzędnicze. Miasto uważało go odtąd za „swego“. Żył się też z czasem z polską ludnością, nauczył się języka, którym żona i jedyny synek mówili, stracił nienawiść rasową — słowem, przero bił się na biernego Polaka, jakich u nas wielu z łaski mieszanych małżeństw. Żył z Polakami, w domu po polsku mówił, nie gniewał się, kiedy żona ustroiła ściany jadalni portretami Kościuszki i Kilińskiego, a nawet ilekroć sobie podchmielił na Niemców wymyślał, Między Niemcami Niemiec między Polakami Polak, w domu tylko ojciec i mąż, nie miał żadnej barwy narodowej. Ponteważ kochał żonę, nie wtrącał się do wychowania syna, który pod okiem matki i polskich profesorów na patryotę wyrósł.

Bezbarwne takie charaktery żyją cieleśnie najszczęśliwiej, ale tylko tak długo, dopóki ich wypadki nie pchną na stanowczą drogę, gdzie trzeba oświadczyć: albo tam, albo tam idę. Tylko sposobność wytwarza nikczemnych albo bohaterów. Frankenberg nie miał dotąd sposobności do rozkrycia niekłamającej duszy.

Aż oto nadchodzi list z Poznania, w którym go naczelny prezes mianuje wrogiem polskich ruchów. Służalność urzędnicza i wrodzona u Niemców nienawiść do słowiańskiego żywiołu stanęły

po jednej stronie, a rodzinne stosunki i długoletnie przyzwyczajenie po drugiej. Niebawem rozpoczną te dwa wrogie pierwiastki zaciętą walkę, której początek burmistrz już dziś uczuł, bo **zadrżał** jak w febrze, kiedy złożył na biurku odczytany list.

Zajęty przykrą myślą nie słyszał ciężkiego stąpania miejskiego kaprała, który wszedł do biura i drzwi lekko zamknawszy na progu stanął.

Kapral, niegdyś służący kapitana, dziś prawa ręka, wykonawca rozkazów burmistrza, niski, krępy, z posiwiałą czupryną, ze szpakowatym wąsem, który butnie w górę podkręcony, bywał dla uliczników znakiem, że miejska władza wykonawcza chętnieby kogo za kołnierz uchwyciła, patrzył na swego pana badawczo, o ile na taką zuchwałość niezapomniany jeszcze regulamin wojskowy pozwalał.

Kiedy stał kilka minut, a burmistrz go nie ujrzał, chrząknął, odkaslnął, brząknął zardzewiałym pałaszykiem i wyprostował się wojskowo.

— Czy wykonałeś rozkazy moje, Szulc? — zapytał teraz burmistrz.

— Obszedłem całe miasto, szukałem powstańców, ale nie widać ich nigdzie, panie kapitanie.

— Zwykle przesadzasz, bo któż widział szukać powstańców, kiedy ich dotąd niema. Gotówes zbytnią gorliwością ośmieszyć siebie i mnie.

— Polaki gotują się do kosynierki, panie kapitanie, więc lepiej przed czasem uważać.

— Hm! burmistrz założył ręce na plecach i chodził po kancelaryi.

— Hm! — mruknął raz drugi stanawszy przed kapralem.

— Hm! — odmruknął kapral, swego pana echo.

— Polaki robią głupstwo — rzekł burmistrz, patrząc przed siebie.

— Zrobią głupstwo! — odparło echo.

— Moglibyśmy sobie teraz zapracować na order — ciągnął burmistrz dalej, oglądając się na drzwi żony.

— Tak, na order — i wskazał kapral na mundur swój w stronę serca, gdzie dotąd nie było żadnej wstążeczki.

— Moglibyśmy zasłużyć na względy rządu, które straciliśmy skutkiem małżeństwa z Polkami.

— Moglibyśmy — powtórzyło echo, bo i ono miało polską żonę.

— Trzeba rozpocząć pracę. Ot tam, na stole czy widzisz białą kartę. Czy widzisz?

Kapral wspiął się na palce, wyciągnął szyję w stronę biurka i kiwnął głową na znak, że widzi.

— Sam prezydent pisze do mnie, prosząc, abym czuwał nad interesami rządu w powiatach nadgranicznych. Sam prezydent, czy słyszysz?

— Sam prezydent! Au!

Kapral cofnął się o pół kroku, wyprężył jeszcze więcej i z uwielbieniem patrzył na swego pana.

— Może być order — mówi burmistrz dalej.

— Iwzględy.

— Może awans.

— Może większa pensya.

— Mogą mnie do rejencji powołać.

— A mnie zrobić kapralem w Poznaniu.

— Hm!

— Hm!

Zamilkli. Po dłuższem milczeniu szepnęła burmistrz, oglądając się na pokoje żony.

— Cóż powiedzą na to żony?

Kapral zmalął odrazu, drapnął się w głowę i mruknął:

— Tfu, głupstwo, "verfluchte Unsinn!"

Ledwo kapral tych słów domówił, otworzyły się tylekroć oglądane drzwi. Do kancelaryi weszła mała kobiecina, już trochę zgarbiona, z poźółkłą twarzą i srebrnymi niemi przeplecionym włosom. Niktby się nie domyślił, że ta kobiecina miała niegdyś liczne grono wielbicieli, że dla niej kapitan von Frankenberg zmienił wiarę i narodowość swych ojców, porzucił nadzieję awansu, wzgardził łaską swego rządu. Czas przeszedł po pani burmistrzowej ciężką stopą, bo młodość uleciała rychło. Tak się zdawało. Twarz żółta, czoło zmarszczkami zorane, wyraz ust nieco obojętny, mały, lekko zakręcony nosek, dziś starością ostro zakończony, postawa skromna na pozór, nie mówiły o wybitnym charakterze. Ale kiedy podniosła czoło i ciemno-błękitne oko z badaniem na męża i kaprała zwróciła, a potem czystym, silnym głosem przemówiła, znikła odrazu powłoka starości. Młoda jeszcze a silna dusza żyje w chorem, rozbitem ciele, zawołałby każdy psycholog z podziwem. Ciało się zużyło, ale dusza pracuje jak niegdyś, przed laty trzydziestu.

— Wieczera na stole, Fritz! — przemówiła.

Tylko cztery słowa, ale pod wpływem ich zmieształ się burmistrz, a kapral ukrył za szafą z aktami.

Bez słowa przeszedł mąż do salki jadalnej, gdzie czekała wieczerza. Usiadł na zwykłym miejscu i zaczął jeść, nie podnosząc oczu na żonę. Kiedy skończył, umył sobie ręce, jak zwykle, i wyciągnął nogi wygodnie pod stół. Wyciągnął i cofnął, bo pod nogami usłyszał szelest. Dziś wilia, dziś ścielą polskim zwyczajem siano pod stół. Bywało tak co rok od lat wielu, a burmistrz nie dziwił się, bo przywykł do tego obrzędu. Dziś cofnął nogi, jak gdyby go tam coś ukąsiło. Order, awans. pensya... pensya,

awans, order — mignęły mu przed duszy oczyma. Westchnął.

Pani zbliżyła się do męża, trzymając opłatek w ręku.

— Niech Bóg błogosławi sprawie naszej — mówiła.

Mąż spojrział na nią z bojaźnią.

— Jestem pruskim urzędnikiem — wyrzekł cicho. ...

— Fritz!

Pani obrzuciła męża wzrokiem nagłego przestraszenia.

— Fritz, jesteś mężem Polki i ojcem Polaka.

— O, prawda!

Burmistrz zakrył twarz dłonią, a w rozumnych oczach pani błysnęła łza. Przeczuli, że w tej chwili stanął między małżonkami grzech pierworodny ich życia — mezalians narodowy.

Cichutko wróciła na miejsce, lekko usiadła w fotelu i zapatrzyła się w migający płomień woskowych świec.

— Jestem pruskim urzędnikiem... brzęczało jej w uszach w rozmaitych warjacjach.

Jak niemile brzęczało!...

Migające światło raziło słabe oczy burmistrzowej. Odwróciła oko do ścian. Nad drzwiami wisiał portret Kościuszki, przysięgającego na Krakowskim rynku, między oknami patrzyła śmiała twarz Pułaskiego, a nad kredensem stał w ramach młodzieniec dwudziestokilkoletni w czamarze, z rogatą czapką na głowie, z twarzą burmistrzowej. Buntnie i śmiało w świat patrzył, zapał miał w oku, myśl na czole, a na ustach samowiedzę młodzieńszej siły i rozkaz.

— Biedny Miechu — wyrzekła matka.

— Miechu! Gdzie on? — zawołał burmistrz budząc się z zadumy.

— Tam! — żona wskazała ręką na portret młodzieńca. — Tak nie wygląda syn pruskiego urzędnika, bo tak wygląda wnuk polskich karmazynów.

Wtem zadudniły na kamieniach rynku koła powozu. Odgłos trąbki pocztowej rozległ się po cichej nocy, powóz stanął przed ratuszem, spieszne kroki na wschodach, trzaskanie drzwi i do jadalni wpadł żywy portret.

— Mamuś droga!

— Miechu mój!

— Ojczyzna woła, przybyłem.

Burmistrz wyciągnął już ręce do syna, ale cofnął je.

— Oj...czy...zna... go... wo...ła — westchnął i wybiegł z pokoju.

II.

Święta Bożego Narodzenia minęły w tym roku bez zwykłego hałasu. Szewcy, których wielu w powiatowym mieście było, nie strzelali tym razem z armatek rodzącemu się Jezusowi na wiwat, pieśni kościelne nie tak ochoczo brzmiały, jak zwykle, bo z Warszawy dochodziły coraz gorsze wieści, a rzemieślnicy uczyli nareszcie, że niedola krajowa nie tylko samą szlachtę obchodzić powinna.

W restauracjach i karczmach było gwarno ale goście stykali nad stołami głowy, szepcząc sobie po cichu o Moskwy okrucieństwach, nie tykając prawie kieliszków i kubków.

Kumoszki schodziły się na gawędkę, jak dziś i wczoraj i dawniej, ale puste ich głowy zajmował teraz przedmiot inny, podnioślejszy, więc i gawędka zwykły koloryt częzej paplaniny traciła.

Praca w dzień powszedni jakoś nie szła, bo młodzież nadsłuchiwała, czyli się tam za kordonem nie odezwie szcęk broni, czyli nie zadzwonią kosa w takt pieśni wojennej — a starzy kładli ręce pod fartuchy, politykując jak — starzy.

W ulicach posuwano się cicho, tajemniczo, szepcano z bojaźnią, podawano sobie wieści, kiwano głowami, a każdy myślał:

— Coś się gotuje w Warszawie.

A nikt głośno, o czem był przekonany, nie

śmiał mówić, bo krew nie woda, a krwi pewno nie mało popłynie...

Zdaje się że dzuma bezlitością stopą nad miastem przeszła, albo wróg postronny przed bramami stoi, bo zwykły oddech gromady ludzkiej — wrzawa i praca dzienna — zamarł w domach.

Cicho, smutno, głucho było w ulicach Tobolna, a w sercach mieszkańców drżało bojaźliwe oczekiwanie skrytego jutra. Co przyniesie to jutro? czyli zaświta blaskiem powodzeń, czy mgłą nowych zawodów polskie łany osłoni?

Każdy pragnął gorąco tego jutra, a każdy go się lękał, bo zamykało teraz w swem łonie wiele krwi, tysiące głów, jezioro łez, albo... spełnienie wszystkich nadziei.

Jak pojedynczy człowiek, tak mają i narody swoje epoki przejściowe. Wszystkie nerwy naprężają się, cała myśl skupia się w jednym kierunku, pomijając resztę interesów.

Nadeszła wilia nowego roku. I dziś nie było słyhać na ulicach pijanej radości, która zwykle stary rok do grobu odprowadza. Nadzieje małe, powszednie, szepczące człowiekowi: jutro będzie lepiej! pokryły się gdzieś, ustąpiwszy miejsca sprawom większym. Wobec takiego usposobienia traci nadzieja promiennolica dawną potęgę bo czarujące jej szept o szczęściu, nie znajdują posłuchania.

Jak zawsze było i dziś na ulicach Tobolna głucho, choć cudowny wieczór zimowy błękitny, milionem gwiazd osrebrzony, namiot nad miastem rozpiął.

Wtem zabiły dzwony na wieży farnej. Jakby na komendę odmykały się drzwi domostw, a ulice ożywiły się mnóstwem ludzi, ciągnących na rynek, do kościoła.

Przed kościołem stanęła gromadka szewców, krawców, stolarzy i mistrzów innych. Otoczyli wieńcem pana organistę, który o głowę koło przewyższał i ręką machając coś dobitnie rozprawiał.

— A wiecie już, że w Warszawie Moskwa tajną drukarnię zabrała, wyłapawszy panów pisarzy?

Rozprawiając, nie spostrzegła gromada, że kapral Szulc na palcach pod kościół się skradał. Teraz stał na progu kruchty, wyprostował się, rękę wyciągnął, wąsami ruszył, brew zmarszczył i huknął z góry:

— W imieniu króla proszę się rozejść!

Rzemieślnicy obejrżeli się i parsknęli śmiechem.

— Wejci go Szulcika, jak się nasrożył — żartował Okuniewicz. Nibyć udaje, jak gdyby nas chciał wystraszyć.

— A juści, jak wąsami strzyże, niby królik, dodał drugi.

— Ehem, chce wódaczki — kończył trzeci.

Ale pan Szulc, który nie zapomniał o orderze i awansie, wołał, owiany śmiechem gromady:

— Po raz drugi proszę, abyście się panowie rozeszli.

— Oho, a z jakiego to prawa waszmość Szulc, rozkazuje? Czy my w Moskwie, albo co?

Tak mówił organista i podparł się w boki.

— Bo wy knujecie spiski przeciw najjaśniejszemu panu w Berlinie, a tego pana zastępuje w Tobolnie wielmożny pan Frankenberg i szanowny kapral Szulc. Kto nie słucha rozkazów szanownego pana kaprała, to jakby był krnąbrny przed miłościwym królem i dlatego winien iść do kozy, pod klucz; na deski, na wodę i głód. Już ja was rozumu nauczę. Po raz trzeci proszę panów w imieniu króla, abyście

się spokojnie, jak na wiernych poddanych przystoi, rozeszli.

— Dyc zwarzował Szulcisko — rzekł organista.

— Co, ja zwarzował? Ja królewsko - pruski kapral, strażnik miejski, kandydat na policyanta prowincjonalnego, mając nadzieję, że dostanie prześliczny order z brązu, ja, a niech was...

Dobył pałasza i rzucił się na wszystkich.

— Aresztuję was! — krzyknął, machając zarzewiałym różnem.

— Pal go w kark bestyję, pludra, Niemca, pod gardło!

Tak wołał kowalczyk i jednym uderzeniem w ramię Szulca, rozbroił oszalałego.

— Gwałtu, mordują, zhańbili we mnie króla, zdrada stanu — krzyczał kapral.

— Cóż to za wrzawa? — odezwał się za plecami hałasujących głos stanowczy.

— Burmistrzów syn! — szepnięto, rozstępując się.

Organista zdjął rogatą czapkę, skłonił się młodzieńcowi do nóg i raportował, co się stało.

— Idź do domu, mości Szulc, bo gorliwość szkodzisz sobie. Dopóki rząd nie ogłosił stanu wojennego, nie masz prawa mięszać się do zgromadzeń ulicznych.

— Bo proszę wielmożne... jękał się kapral.

— Żadnego ale. Ruszaj do domu i napij się zimnej wody, bo ci w głowie zaszumiło.

— Kiej on woli okowitkę, proszę pana — wtrącił szewc Okuniewicz.

Z wieży kościelnej odezwał się dzwon po raz drugi, kończąc spór; cała gromada przeszła do świątyni.

Kilka świec woskowych, płonących na ołta-

rzach, nie rozświecało dostatecznie wnętrza kościoła. Ale te półcienie wieczorne, nasiąkłe wonią kadzidła, rozbrzęczone dzwonek jednostajnym kwileniem, oddziałują, jak wiadomo, odurzająco nie tylko na dusze prostaczków, żadnej poezji nieznających, ale i na serca, które biją pod opieką wytrawnych głów. Ceremonie — to wielka potęga kościoła katolickiego.

— Rany Boskie!

— Święta panno!

Koło rozstąpiło się szerzej, jak gdyby granat między gromadkę padł.

— A tak, zabrała — mówił organista — było to 23 grudnia, w dzień przed wilią, jak pisze dzisiaj **Przyjacieli**.

— O Jezu! — mruknął szewc Okuniewicz.

Organista zażył tabaki, kichnął trzykrotnie i obtarłszy wąs rękawem czamarki, prawił dalej:

— Ponoć warszawski namiestnik rozkazał na drugi miesiąc brankę. A wiecie wy co to branka?

Koło zwęziło się znów.

— Oho! to straszna rzecz. To dycht jak gdyby nieprzymierzając polowanie na dzikie zwierzęta. Nocą napadają żoldacy domostwa, łapią co tylko ma zdrowe kości, wiążą, biją kolbami, pchają i pędzą het za góry, za Ural na wojaczkę.

— Biedne chłopcy! — szepnęło babulinka, stojąca za cmentarnym filarem.

— A juźci, że biedne, Grzeškowa, bo kiedy tak raz zagnają między lody i śniegi sybirskie, to juźci ani słychu o biedactwie. Zmarnieje, gdzieś zembrze, a nikt nie pogrzebie. A jeśli wróci, staruszkciem, schorzałym, nie pozna go i rodzona siostra; tak go tam znękają. Ot, bieda z nami.

Gromadka opuściła głowy, posmutniawszy.

— Dyć bieda z nami — powtarzał organista mechanicznie.

— Eh, co tam bieda — zawołał teraz młody czeladnik kowalski i podniósł ramię. A bo my to rąk nie mamy, albo co, a bo my to cieleta lub barany, żeby nas zarzynali bez pytania! Jeszcze czego. Nie damy się i basta.

Wywinął ramieniem i uderzył pięścią w płot cmentarza, aż załoscotały wszystkie deski.

— Patrzenie go jaki śmiały, że prochu nie wachał — rzekł szewc Okuniewicz. Ja bo wachałem proch pod Miłosławiem, ażem sobie wąsy osmalił. Ehe, to nie żart, kiej kule jak chrabąszcze nadełbem fruwają. Ehe!

— Bo wy, majstrze — wołał kowalczyk — myślicie, że tylko starzy rozum mają. A ja powiadam, że na ruchawicę lepsza młoda gorąca czupryna od wyschłej makówki. Co wiem, to wiem. Nie darmo to burmistrzów Mieczek do nas zjechał. Będziemy bili i basta.

Lud wszedł do świątyni, padł na kolana i czekał. Za chwilę odezwał się dzwonek zakrystyi — chłopcy wyszli, za nimi ksiądz — potem zaszumiały akordy organów — a kilkaset piersi prosiło: „Święty Boże, Święty mocny...“

„Syn burmistrzów“ stał na progu kruchty, plecami o mur wsparty. Ręce skrzyżował na piersiach, a oczami wodził w około po głowach zgromadzonego ludu. Stał tak silnie, z taką pewnością na murze się oparł, że i nie fizjonomista odgadłby w nim człowieka wielkiej woli i czynu. Postać nie wielka, ale dobrze zbudowana, twarz nie piękna, ale wyrazista, zwykle chłodna, bez spodziewania się młodości, bez marzeń osobistych, czoło wyniosłe, oczy bystre matki i usta jej szczelnie zamknięte, nos

lekką zagięty, włos krótki — składały się na jedną z tych twarzy, których ludzie pospolicie nie lubią, a ukochać prawie nikt nie umie, bo nie wróżą zmysłu do praktycznego życia... , jedynie szczęście dającego.

Czy mógłby taki człowiek kochać? zapytałoby dziewczę. Mógłby, ale umiałby poświęcić największą miłość osobistą dla większej sprawy, odpowie psycholog. Czy umiałby żyć wśród rodziny? Niezawodnie, ale rodzina nie może być dla niego celem życia.

Instykt praktyczny szepnie to każdej kobiecie; powód to, dlaczego ród niewieści właśnie takich ludzi podziwia ale rzadko miłuje, a jeszcze rzadziej na męża wybiera. Tylko wyjątkowe istoty „rzykują“ życie, a tych nie wiele.

„Syn burmistrzów“, Mieczysław Frankenberg, miał dziś lat dwadzieścia sześć. Był od roku profesorem historii w jednym z gimnazyów berlińskich, dokąd go rząd rozmyślnie jako syna spolszczonego Niemca wysłał. Ale i w Berlinie nie zrobią z Polaka Niemca, a Mieczysław Frankenberg był czynnym patriotą.

Kiedy stał, wodząc oczyma po klęczącym tłumie, zdawało się, że wódz przed bitwą szeregi swe przelicza, ważąc siły strażników.

Frankenberg rozmyślał rzeczywiście, czy lud ten, wołający o pomoc do Boga, ochoczo do walki stanie, a stanąwszy, czy wytrwa do końca.

Wtem zaszumiały organy głośniejsze, a z piersi wypłynął śpiew potężny, unoszący rozum na skrzydłach zapachu wysoko, aż przestał liczyć.

„Boże coś Polskę przez tak liczne wieki“...
Coś ją otaczał blaskiem potęgi, a straciłeś za winy nie nasze —

“Ojczyznę, wolność, racz nam, wrócić Panie...”
pomny na dzieje wiekowe, które były jednym pasmem niesamolubnych ofiar, bo dość cierpieliśmy.

Mieczysław pochylił głowę. Lud śpiewał z takim przejęciem, głos tak potężnie pod kopułę się wzbijał drząc szczerą prośbą i rozpaczą, że niedowiarek przed prawdą się ukorzył.

A jednak...

— Jest wiele siły w tych prostaczkach — myślał w duchu — ale połowę trzeba odłożyć na wpływ nocy, świateł, organów, chwilowego rozżalenia. Oby zachował i w czasie rzeczywistej potrzeby ten płomień niesamolubny! Dalibyśmy sobie wtedy radę.

A śpiew płynął coraz namiętniej falami, co tryskały z wezbranych serc. Lud prosty zrównał się w tej chwili z boleścią kompozytora.

— Ale tam na polach bitew nie będzie świateł i organów — mówił rozum w Mieczysławie — bo tam się głód rozgości i poniewierka, do zniesienia których potrzeba ufności w ideę, której ci ludzie jeszcze nie mają.

— Przepraszam pana — odezwał się za plecami Mieczysława dźwięczny głos niewieści.

Mieczysław ustąpił z progu; z kruchty przeszła do kościoła dwudziestoletnia dziewczyna, za którą służący postępował. Minęła go, nie spojrzawszy, i uknęła opodal, blisko kazalnicy.

Zmówiła modlitwę, złożyła ręce i podniósłszy głowę, zdawała się tonąć w śpiewie żałobnym, odczuwając jego znaczenie bo młode usta uśmiechnęły się smutnie, a oko zaszło mgłą zadumy.

Mieczysław spojrzął na nią i oka nie odwrócił. Coś bohaterskiego było w postaci tej dziewczyny. Nawet teraz, kiedy klęcząc, złamała się w dwoje wydawała się większą niż była. Kruczy włos ob-

wiódł twarz dziwnie bladą spadając w kilku strzępkach na proste czoło. Wielkie jej czarne oczy świeciły tajemniczo, a wąskie usta drgały lekko wśród szęptu modlitwy. Ręce złożone przyciskała do piersi, jakby tamując gwałtowne bicie serca.

— Niepospolita dusza mieszka w tem ciele — pomyślał Mieczysław. Kobieta ta będzie umiała skonać z miłości, a kogo ukocha, tego nie opuści, choćby ją w łachmany stroił.

Dziewczyna uczuła wzrok na sobie utkwiony. Odwróciła się — spojrzeli na siebie — on z podziwem — ona z bojaźnią — opuścili głowy — on smutniejąc nagle — ona rumieniąc się.

— Przestałem być samotnym — rzekł Mieczysław półgłosem. Pamięć tej twarzy pójdzie za mną jak cień dnia letniego. Głupio się stało...

Kiedy się wieczorne nabożeństwo skończyło, podniosła się nieznajoma z kolan. Jeszcze raz na Mieczysława spojrzała, potem wyszła innemi drzwiami.

Lud wypłynął z kościoła, zabierając z sobą burmistrzowego syna. Przed kościołem uderzył właśnie forszpan z bata nad czwórką koni, która się wspięła i uniosła elegancki powóz.

Mieczysław wlepił oczy w okna powozu. Jeszcze raz tam blada twarz dziewczyny błysnęła i znikła. Za chwilę słyhać było tylko daleki odgłos uchodzących kół.

— Któż to był? — zapytał Mieczysław któregoś z rzemieślników.

— Tak mi się widzi, że to panna z Brzezin.

— Nie gadałbyś — poprawił inny. — Albo to pan z Brzezin ma takie wielachne dzieci.

— Może z Turkowa.

Mieczysław nie czekał na koniec sporu. Wracał wolnym krokiem do ratusza, gdzie na niego matka czekała. Kiedy wszedł na piętro, otworzyły się drzwi do biura i w progu stanął burmistrz.

— Proszę cię na kilka minut do siebie — rzekł ojciec.

Weszli. Burmistrz zamknął drzwi, stanął przy piecu i zaczął:

— Wszakże się jutro szkoły w Berlinie rozpoczynają?

— Jutro, ojcze.

— Zrozumiesz, że mi obecność jedyne go syna przyjemność sprawiać musi. Czy uwierzysz?

— Nie mógłbym inaczej, ojcze.

— Ale służba bierze wolność, a pierwszym warunkiem urzędu bywa akuratność. Jako urzędnik nie mogę cię dłużej zatrzymywać.

Mieczysław spojrział na ojca, ale burmistrz odwrócił głowę w stronę drzwi, usuwając twarz z pod badawczego wzroku syna.

— Spóźnisz się i tak; dlatego radzę, abyś dziś jeszcze ekstrapocztą do stacyi kolejowej podążył.

— Nie wrócę więcej do Berlina — odparł syn.

— Nie... wró...cisz. — bąknął ojciec, wytrzeszczywszy oczy.

— Zostanę tu, dopóki się sprawa nasza nie skończy.

— Spra...wa na...sza...

— Tak, nasza, ojcze, moja i twoja, bo polska. Domyśliłeś się pewno, że Polska za kordonem niebawem w kosy zadzwoni...

— Wiem o tem, bo mi prezydent polecił czuwanie nad ruchem pogranicznym.

— A mnie komitet narodowy warszawskiego

rzędu mianował organizatorem wojskowym nadgranicznych powiatów.

— Synu!

— Ojczę!

Burmistrz przyparł się do pieca, zbladłszy; — Mieczysław cofnął się o dwa kroki, pobielawszy także. Patrzyli na siebie — ojciec i syn — serca ich stanęły, dusze przelewały się ogromu nieszczęścia, którego początek w tej chwili odgadły.

— Wróć do Berlina — prosił ojciec półgłosem.

— Nie mogę — odparł syn tak samo.

— Jestem urzędnikiem, mógłbym nie zważać na łącznik krwi, mógłbym, o...

Burmistrz ujął głowę w obiedwie dłonie.

— Ojczę! — wyrzekł Mieczysław podchodząc — rzuć urząd, który cię w obecnych stosunkach hańbi, a mnie dni młode zatruwa.

Burmistrz ochłonął. Głos buntu przebudził bojaźliwe serce urzędnika.

— Wróć do Berlina, albo opuść dom ojca, bo jako urzędnik pruski, nie mogę gościć u siebie jawnego buntownika.

Wymówiwszy to, pobiegł burmistrz do biurka.

— Fritz!

Na głos ten donośny zadrzał urzędnik. Nie śmiał podnieść głowy, bo głos to był żony jego, która stała na progu.

— Jak możesz w ten sposób do jedyne go syna przemawiać, okrutniku! Czemu urząd w porównaniu z miłością żony i dziecka? — mówiła pani. — Wstydz się!

— Miejże litość na nim, mamó — szepnęła Mieczysław — on teraz biedniejszy od nas.

III.

Każdy dzień nowego roku przynosił gorszą wieść z Warszawy. Fantazja ludu widziała szereg okrucieństw, a łzy, które płynęły w Warszawie, zasnuwały oblicze całej Polski.

W pierwszych tygodniach w roku 1863 uczył się cały kraj jedną rodziną. Obręcze granic trzech mocarstw nie rozdzielały serca narodu, który zrozumiał, że tylko wspólnymi siły wielkiego dzieła dokonać może.

Był to wspaniały widok! Miasta i dwory szlacheckie w całej Polsce przywdziały żałobę — jak jedna rodzina. Tylko chaty włościan zostały na uboczu, nie łącząc się z dążeniem starszych braci. Chłoptwo patrzyło obojętnie, bez myśli, bez sympaty na ruch ogólny, jak niedobrzy sąsiedzi na pożar bliskiego domu.

Choć komitet warszawski dotąd powstania nie ogłosił, wiedzieli wszyscy, że odwrót jest niemożliwy.

Starzy kiwali głowami, młodzi zacierali ręce, dziewczyny modliły się gorąco, chłopcy zazdrościli starszym wzrostu i siły, a wszyscy wołali w kościołach: Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie!

Kto wówczas, jak Montalembert, po kraju naszym podróżował, musiał wywieźć szczytne o nas pojęcie, bo całe życie nasze, nie pomijając codziennego, podniosło się o kilka tonów duchowych.

Koloryt Tobolna nie różnił się od nastroju całej Polski. Wszakże dopiero w r. 1863 wystąpiło mniejsze mieszczaństwo czynnie obok szlachty, która dotąd prawie wyłącznie sprawie publicznej służyła. To też wrzało w tym czasie najwięcej w mniejszych miasteczkach, a pod bluzami młodych rzemieślników bohaterskie były serca. Kościoły były podczas wieczornych nabożeństw zawsze pełne, przez miasto ciągnęły procesye, śpiewając głośno hymny narodowe, karczmy napępniały się tłumami ciekawych, bo każdy chciał wiedzieć, co w Warszawie postanowiono. Ktoś mędrszy, „piśmienny“ przynosił tu gazetkę ludową, którą gromadzie odczytywał.

Częściej teraz, niż dawniej, dudniły powozy szlacheckie po bruku Tobolna, a prawie wszystkie przed ratuszem stawały. W mieście wiedziano już, że „syn burmistrza“ nie dla zabawy do rodziców przyjechał. Co dzień wyjeżdżał w okolicę, czasem rozbudzano go nocą, a kilkakroć przyjmował u siebie liczne grono powiatowej szlachty.

Kiedy się to dzieje w pokojach gościnnych ratusza, chodzi burmistrz całymi dniami po kobiercach urzędowego pokoju. Od owego zajścia z synem, nie siedł już do pokoiów żony, na jedynaka nie spojrzął, a jedzenie kazał sobie przynosić do biura. Tu zamknięty chodził po pokoju, ręce łamał, skroń zacierał, bo w duszy jego pękło coś, rozsunięło się. Co? Oswojony tygrys łasi się, ale kiedy przypadkiem liźnął krwi, rzuca się na troskliwego pana. Oswojony Niemiec zapomina o nienawiści rasowej, ale biada mu, kiedy renegatowi stosunki zewnętrzne germański początek przypomniały. Zdaje się, że sam Bóg postawił między szczep niemiecki a słowiański okrutną nienawiść, bo żywiły te, tak

blisko siebie, a częstokroć do jednego przykute płuca, nie znalazły dotąd najmniejszego łącznika, który by im konieczne stosunki uznoślił.

Przywyknienie może wiele, ale w epokach kulminacyjnych bywa instynkt silniejszym. Patriotyzm szczepowy można nazwać instynktem, bo z krwią i mlekiem matki, z pierwszą pieśczęcią, z pierwszym marzeniem do serca człowieka przychodzi. Kto aż do r. 25. życia był Niemcem i pruskim oficerem, ten odczuje w sobie duszę germańską, choćby przez całe późniejsze życie po polsku mówił. Języka można się nauczyć i po roku trzydziestym życia, ale sympatye i kochania są owocem lat dziecięcych i młodzieńczych.

Miłość do kobiety, do dziecka — to także potężny instynkt, ale późniejszy od pierwszego. Miłość do kobiety odbiera człowiekowi na krótką lub dłuższą dobę przytomność, oślepiając, ogłuszając; wszakże czas, który z wszystkich uczuć tej ziemi urok świeżości ściera, przypomina wkońcu przeszłość ze sympatjami jej i apatjami.

Burmistrzowi już nieraz, kiedy mu obowiązki przez kilka tygodni pomiędzy Niemcami w prowincjonalnem mieście żyć kazały, stosunek domowy zaciężył, ale takie przebudzenie germańskiego sumienia mijało bez głębszego wrażenia. W powszechnem życiu nie było sposobności do zaciętej walki odmiennych przekonań. Teraz zmieniło się położenie.

— Dokąd, w którą stronę?

Takie pytanie rozdzierało biednego na dwoje, przeszłość ciągnęła do Niemców, a terażniejszość, własnowolnie zgotowana, po stronie Polaków stanąć kazała.

Silny charakter zdecydowałby się odrazu, ale

burmistrz był pantoflem. Ażeby takich ludzi pchnąć na jakąś drogę, potrzeba bodźca z zewnątrz. Dopóki ten bodziec nie nadejdzie, męczą się, szarpiąc własne łono widmami uprawnionych i nieuprawnionych strachów.

Dwa tygodnie minęły od willed Nowego Roku. Dwa tygodnie w życiu małego miasta mijają zwykle bez głębszej pamięci, tak samo upływają całe lata. Życie idzie tu regularnie, podług taktu, jak zegarek, raz nastawiony. Dziś to samo i jutro to samo i za rok nie inaczej, chyba chrzciny, wesele lub śmierć jednostajność urozmaicają.

Ale teraz biło życie Tobolna przyspieszonym tętnem, jak puls sfebrowany. Wszystko tu kipiało, oczekiwało, męczyło się. Trawił się i burmistrz, choć z innych powodów. Bezsenne noce wyrwały na twarzy jego głębokie bruzdy, obwodząc oczy fioletowym cieniem. Biedny... starzał się w oczach.

W pierwszych dniach trzeciego tygodnia zagrała na ulicy Tobolna trąbka pocztowa. Ludzie wybiegli, patrząc kogo poczta wiezie. Cofnęli się do sieni, bo w powozie pruski mundur świecił.

Powóz zdążył na rynek przed ratusz, gdzie się zatrzymał. I burmistrz, który wyjrzał oknem swego bióra, cofnął się.

— Der Polizeirath! — szepnął po niemiecku, co zawsze czynił, ilekroć ujrzał przełożonego. Serce jego urzędnicze uderzyło w tej chwili głośno łoskotem strachu. Musiał się oprzeć na biurku, aby nie upaść.

Nie oprzytomniał jeszcze, kiedy „Polizeirath“ już wchodził do kancelaryi. Bez ceremonii przywitawszy się lekkim skinieniem głowy, zasiadł w fotelu burmistrza, który się nisko kłaniał, błędąc coraz więcej.

— Z rozkazu prezesa policji objeżdżam powiatowe miasta, aby się przekonać o duchu pogranicznych stron, zaczął radca, czyszcząc szkła binoklów. Jakież duch w tych stronach, panie burmistrzu?

— Usposobienie buntownicze rozwieliło się — odparł burmistrz.

— To źle, bo rząd nasz zawrze z dworem Petersburskim traktat zaczepno odporny. Czy pan wie, co to znaczy?

— Domyślam się, że pomagać będziemy Moskalom.

— A tak, panowie, na krańcach prowincji siedzący, macie obecnie wysokie pozycje, bo na was spada ciężar czuwania nad interesami miłościwego króla w tych stronach. Macie dobrą sposobność; — tu zatrzymał się radca i spojrzał znacząco na burmistrza — jeżeli który z was w jakikolwiek sposób na niezadowolenie rządu zasłużył, może sobie utracone łaski napowrót zdobyć.

Burmistrz skłonił się nisko. Radca wstał, zbliżył się do głowy miasta i przybrawszy postawę wojskową, mówił ciszej:

— Prezes policji polecił mi głównie pana. Jesteś niemieckim szlachcicem, byłeś oficerem, dobrym patriotą panie kapitanie, a nie masz dotąd orderu.

Radca uśmiechnął się, kiedy burmistrz minowolnie na dziurkę od guzika spojrzał, gdzie nie było ani odrobiny kolorowej wstążeczki.

— Nie masz dotąd orderu, panie kapitanie, a miałbyś go już dawno, gdyby...

Burmistrz poruszył się.

— O, przepraszam, — mówił radca słodziuchno — nie chciałem dotknąć. Zresztą cóż nam do przeszłości, kiedy obecne czasy mogą wszystko

zmienić. Jeżeli sumiennie obowiązki urzędnika wypełniać będziesz, czeka pana niezawodny awans i order. Prezes coś wspominał że wakuje miejsce radcy policyjnego.

Burmistrz wyprostował się nagle; oko jego błysnęło żywiej.

— Jestem przedewszystkiem Niemcem i urzędnikiem, panie radco, i nie zapomnę nigdy, co mi czynić wypada.

— Jesteś pan także mężem i ojcem — wtrącił radca.

— Prawda — burmistrz na to wspomnienie zmalął od razu.

— Ale w służbie traci się sympatye osobiste, w służbie nie ma żony, ani dziecka, bo jest tylko obowiązek. Gdybyś pan miał o tem zapomnieć, czekałaby cię zamiast awansu niezwłoczna dymisyja.

Burmistrz kłaniał się znowu jak poprzednio — nisko, pokornie.

— Nie wiele mam czasu, więc proszę pamiętać o instrukcyi.

Jak wszedł, tak wyszedł, ukłoniwszy się protekcyjnalnie. Burmistrz przeprowadził radcę do powozu.

— Mówiono w Poznaniu na sesyi, że syn pana jest buntowniczym agitatorom — rzekł radca, kiedy się rozsiadł w powozie.

— Nie praw... — chciał się burmistrz bronić.

— No, no, tylko tak mówiono, proszę pamiętać, awans, albo dymisyja, order, albo hańba, adieu, proszę nie zapomnieć.

Konie ruszyły — powóz uchodził z miasta.

Order, urzędnik, hańba, dymisyja, Niemiec, buntownik, syn, żona, służba, obowiązek, rodzina...

Wszystkie te pojęcia uderzyły równocześnie na słabą duszę burmistrza. Zaszumiło mu w głowie od tej nieznanej wrzawy, zaćmiło się w oczach. — Błady i drżący powłókł się na piętro. Tu padł na fotel i twarz dłonią zakrywszy, przetrwał długo w niemem a jednak okropnem milczeniu, bo wewnątrz wojowały różne pierwiastki wrogie, z których każdy wystarczał do zaniepokojenia biernej duszy urzędnika.

Czuł, że się w tej chwili dalsze życie jego rozstrzyga, i czekał, aż się bunt uspokoi i wypłynie ostateczne postanowienie. Długo tak czekał, oddając się bez oporu na pastwę licznych strachów, aż Niemiec-urzędnik zwyciężył.

— Nie mogę zdradzić mojego kraju; rodzina powinna się zastosować do sympatyi głowy.

Wymówiwszy to z siłą, podniósł się i przeszedł do pokojów żony.

W saloniku siedziała pani burmistrzowa pod oknem; obok stał Mieczysław i patrzył przez szybę, kreśląc paznogciem na mrozie szkła jakieś znaki.

Na skrzypnięcie drzwi odwrócił się syn do ojca.

Burmistrz zawahał się na progu. Tam stał syn jego w granatowej czamarcie, w długich, palonych butach, z miną polskiego szlachcica.

Teraz dopiero podpadło ojcu, że Mieczysław nie był do niego nawet cieleśnie podobnym. Spojrzył na matkę, to jej była twarz, jej postać, jej ruchy. Syn po ojcu nic nie wziął — ani ducha, ani ciała.

↳ Spostrzeżenie to wróciło burmistrzowi otuchę, która go na widok żony odbiegła. Zawrzał gniewem, że musiał synem człowieka nazywać, który nie miał z nim nic wspólnego.

— Przyszedłem cię prosić, Mieczysławie—rzekł

— abyś natychmiast do Berlina wrócił, bo wakacje już się dawno skończyły.

— Powiedziałem ojcu, że do Berlina nie wrócę — odparł syn.

— Człowiek rozumny nie powinien głupio działać.

— Dziś już w Polsce rozum nie popłaca, mój ojczu, bo sprawa za daleko postąpiła. Zapał w miejsce rozwagi, waleczność, fanatyczna miłość kraju oto czynniki, za pomocą których jedynie zwyciężyć możemy.

— My, Polska? Ja nie jestem Polakiem, o czym wiedzieć powinienes, bo i ty Polakiem nie jesteś, ja ko syn niemieckiego szlachcica.

Mieczysław zapłonął, wysunął się z za krzesła matki, za którym stał.

— Kto mnie w dzisiejszem położeniu Niemcem nazywa, ten mnie hańbi, bo nie ma dla patrioty dotkliwszej obelgi, nad imię wrogów naszych. Polską mam matkę, po polsku mówiłem w kołysce, w polskich kształciłem się szkołach, po polsku myślę i czuję, więc Niemcem nie byłem ani będę.

— Musisz być Niemcem! — zawołał ojciec.

— Nigdy! Gryźć będę Niemców zębami, jeżeli mi staną w drodze, przeszkadzając. Polakiem jestem, sprawy mojej nie zdradzę nigdy, choćby mi przyszło konać w lochach fortec, gnić na Sybiru stepach, albo na szubienicy zawisnąć. Do ostatniej kropli żywej krwi wytrwam przy sztandarze narodowym, nie lękam się niczego, nawet... klątwy... ojca.

— Wię bądź przeklęty, odstępco, waryacie, szaleńcze, niech cię pierwsza kula... ha!...

Burmistrz ślaniał się...

— Verfluchte Polacken! — mruknął po niemiecku — den einzigen Sohn haben sie mir genommen. Verflucht.

Mieczysław chciał podbiec do ojca; w połowie drogi stanął.

— Verfluchte Polacken! — brzmiało mu w uszach. — Zerwała się ostatnia nić, która mnie z nim łączyła; nie mam już ojca — wyrzekł.

— Tak, nie masz już ojca, bo go w sercu nigdy nie miałeś — rzekł burmistrz. Wyrzekam się ciebie na zawsze, przeklinam cię, jeżeli nie rzucisz od siebie waryackiego fanatyzmu. Bądź porządnym, na chleb pracującym człowiekiem, wyrób sobie życiowe stanowisko, służ miłościwemu królowi, który ci daje utrzymanie, a może odwołam, co powiedziałem. Polskiego waryata, który marzy o jakichś tam poświęceniach zamiast chleba pilnować, nie chcę zwać synem.

— Stało się — rzekł Mieczysław.

Burmistrzowa, która się dotąd zdziwiona tej scenie przypatrywała, zmierzyla męża surowym wzrokiem.

— Pewno ci radca policyjny w głowie pomieszał — powiedziała.

— Radca policyjny przypomniał mi, że byłem Niemcem, zanim ciebie spotkałem, że jestem urzędnikiem, który przysiągł wierność swemu królowi, więc mnie nie mierz po swojemu, bo się dziś nie ustraszę. Naprzód obowiązki, potem rodzina, na przód Niemiec, potem Polak.

Niepotrzebnie brwi marszczysz pani żono, bo wina jest po twojej stronie. Tyś to z mego syna zrobiła buntownika, tyś napoiła duszę jego polskiemu głupstwami i fantasmagoryami, tyś wlała w nie-

go jakieś narodowości, zamiast go uczyć jak się chleba pilnuje. — Wyście wszystkie takie, wy... Polki!

— Tak, jestem Polką — odparła pani.

— Ha, ha, brawo! Gotowaś przypasać karabellę. A ty, panie synu, wynoś mi się z domu, bo pruski urzędnik nie może dawać jeść polskiemu buntownikowi. A jeśli myślisz nadal, jak potąd waryowac, nie kałaj mego imienia. Do tego będzie najodpowiedniejsze nazwisko twojej matki. Wynoś mi się z domu, a rychło.

Wygłosiwszy to szybko, jakgdyby się lękał, aby go odwaga nie odstąpiła, wybiegł zaraz ze saloniku żony.

Już go dawno nie było w pokoju, a syn z matką nie wymienił jeszcze słowa. Gwałtowna ta, niespodziewana scena poruszyła ich do głębi. Matka usunęła się na fotelu, opuszczając ręce bezwładnie, a Mieczysław nie ruszał się z miejsca, przykuty ogromem moralnego bólu.

Toć ojcem był człowiek, który piwał na jego naród, sztydził z jego marzeń i celów. Francuz, Anglik i Niemiec nie pojmują takiej sytuacji, ale polski patriota, który całą duszą ukochał sponiewieranego swój lud, który od kołyski żył jednym tylko marzeniem: aby służyć ojczyźnie, pracować dla niej, umrzeć za nią, odczuje cios, co w samo serce Mieczysława ugodził.

Bądź przeklęty, jeżeli Polakiem zostaniesz, a przecież nie być Polakiem znaczy tyle, jak być zdrajcą, nikczemnikiem, odstępcą.

Staraj się o chleb, o stanowisko, o podłe zerowanie w chwili, kiedy cały naród z boleści drętwieje, kiedy najmniejszy czeladniczek zapalem na bo-

hatera rośnie... I tak mówi ojciec do polskiego syna... O!...

— Nie, nie i nie! Niech będę przeklęty, ale Polakiem zostanę — zawołał Mieczysław.

— Synu mój — mówiła matka głosem słabym. — Zostań patriotą, a może zmyjesz moją winę. Kiedy szłam za twego ojca, byłam prawie dzieckiem. Dziś wiem, że Polka nie może być Niemca żoną. Zapóźno... wybacz mi.

Ze starego oka burmistrzowej spłynęła wielka łza, którą syn ustami zebrał.

IV.

Tego samego dnia wieczorem opuszczał Mieczysław rodzinne miasto. Pieszko, w krótkim barankowem futerku zdążył pełną drogą do Brzezin, wsi, w której mieszkał jeden z czynniejszych agitatorów rewolucyjnych. Nie zabierał rzeczy, nie najął powozu, bo chodziło mu o to, aby w mieście nie wiedziano dokąd się udał.

Mieczysław nie lękał się o siebie, gdyż stanąwszy raz w przednich szeregach czynnych patriotów policzył się z osobistymi pragnieniami, a nawet z życiem, wiedząc, że tam, gdzie drwa rąbią, tam drwa padają. Jednak sądził słusznie, że w obecnem położeniu kraju, każda trzeźwa głowa, działająca w myśli patriotycznego serca, oszczędzać się powinna.

Syn burmistrza, nie lękał się. Był przekonany, że ojciec z chwilą zrzeczenia się stosunków rodzinnych, będzie syna-buntownika z całą iście prusko-urzędniczą gorliwością ścigał, nie zważając na potworność takiej roboty. Toć wiedział, że syn jego był właśnie jako organizator punktem środkowym ruchu pogranicznego. Gruby zwierz — niechybny order, gdy go odstawi.

Nie mówiąc nikomu, nawet matce, dokąd się udaje opuścił Mieczysław o szarej godzinie rodzinne miasteczko.

Syn urzędnika przeczuwał dawno, że się kiedyś stosunek jego do ojca w ten sposób ułoży. Toć już dzieckiem nie miał zaufania do rodzica, po którym nie wziął ani jednej myśli. Ojciec — praktyczny Niemiec; syn — fanatyczny Polak; burmistrz — urzędnik całą duszą, pokorny, usłużny; syn — polski szlachcic, nie wiele się troszczący o drobne obowiązki służbowego życia; ojciec — flegmatyk, smakosz, kapłan ciała; syn — choleryk, uważający życie za środek do spełnienia nie samolubnych celów; słowem... dwa odwrotne bieguny, które się nigdzie i nigdy zejść nie mogą.

Całe życie trwała pomiędzy ojcem i synem cicha wojna, której ostateczny wybuch matka wstrzymywała. Cokolwiek bowiem syn powiedział, wydało się ojcu głupstwem, cokolwiek ukochał, burmistrz wyszydzał. I nie mogło być inaczej, bo Polak i Niemiec, Słowianin i Armina wnuk... to dwa żywioły tak różne, iż spójnika między nimi największy czarodziej nie odnajdzie. Może tam, za grobem... ale tu... nigdy.

Gdyby ludzie wykształceni pamiętali, jak wdzięk i wabik ciała szybko powszednieją, a pierwiastki duchowe w małżeństwie w końcu przewagę odzyskują, nie byłoby tyle potwornych mezaliansów, na których widok poeta-psycholog pytać musi: cóż łączy tych ludzi? Chyba forma ślubnego aktu... legalne kajdany.

A jednak... cios, choć przeczuty, kiedy nagle ugodził, zachwieje człowiekiem.

Na dworze było ciemno, bo gwiazdy nie roziskrzyły jeszcze styczniowego nieba. W dali wiatr szumiał, płosząc wrony, które z głośnym łoskotem z przydrożnych drzew się zrywały, upadając o kilkaset kroków na nowo.

Mieczysław znał każde drzewo w okolicach Tolbna. Topole, rysujące się niewyraźnie na śniegu, były mu drogowskazami.

Zapiął futro pod szyję, zobaczył, czy rewolwer nabity i spieszył, nie oglądając się na miasto, z którego wołały tysiączne głosy: Bądź przeklęty! Ciemna noc, żal, samowiedza sieroctwa, nie bywają dobrymi towarzyszami wędrowców. Każdy człowiek ma serce, a patriota i człek wykształcony boleje dwakroć, trzykroć, kiedy widzi nędzę człowieka, własnowolnie sprowadzoną.

Mieczysław drgnął, ilekroć go wrony, zrywające się z topoli, wystraszyły. Błada, roznamiętniona twarz ojca szła za nim, obok, przed nim. Otrząsnął się, oglądał, sięgał po rewolwer i szedł dalej.

— Trudno, nie mogę się cofnąć, nie mogę sobie wprawić innego serca zamiast starego. Zrobiono mnie Polakiem i takim umrę, a gdyby sprawie mojej ktoś nienawistny miał szkodzić, biada mu, choćby... Nie dokończył, obejrzał się zestrachem.

— Tam do licha! Wieczór nerwy moje rozegrał, iż same strachy widzę — szepnął i przyśpieszył kroku, poświstując marsza Dąbrowskiego.

Kiedy mijał pierwszą wieś, wypadły psy na niego. Chroniąc się przed zajadłą tłuszcza, wstąpił do karczmy, z wnętrza której dochodziła go wrzawa pijaństwa. Karczma była pełna.

Kilku starszych chłopów siedziało przy długim stole. Wychylili pewno już niejednen kubek, bo siwe głowy opadały na ramiona.

Wielka gromada młodszych zapełniła izbę, otaczając kogoś, który się ukrywał za ludzkim murem. Zajęci opowiadaniem tego kogoś, nie spostrzegli chłopów, że nowy gość do karczmy przybył.

Mieczysław stanął w progu i słuchał.

Ktoś ukryty za szerokimi barkami wieśniaków opowiadał łamaną polszczyzną:

— Wy nic nie wiecie, wy kłopy. Was euch taki głupi Edelmann będzie powiedzieć, to wy gläubujecie, jakby to była ewangelia.

— Ehem, albo to prawda — przerwał jeden ze starszych wieśniaków. Czy my to nie mamy swoich rozumów! Oho, już minęły czasy, kiedy nas panowie katowali, panie żandar.

— Gut, gut, to jest dobry ten katować. Oni was katowali, a teraz, kiedy Seine Majestaet — tu mówiący uchylił czapki — z ich pazurów wyostał, chcieliby znów Polski, aby mogli głupiego kłopa na drzewo posadzić, i paf, pif, jak wróbla.

Mówiący złożył się pałaszem jak fuzyą. Mieczysław ujrzał teraz rękaw munduru.

Bo wy też wszystko przesadzacie panie żandar. Tak bo nie było.

— Was, nie było! — perorował apostoł germańskiej idei. Było jeszcze gorszy, war viel schlechter gewesen, viel nidertraechtiger. Wsadzali chłopów do turmy, aż pogniły na nich łachmany, brali wam żony, wenn sie waren ladne, a kiedy z was kto mordę otworzył, w dyby go i w rekruty. He? Co było anders?

Wieśniacy pospuszczali głowy.

— Dyc, jest to wszystko wedle rychtyku, — mruknął któryś — zupełnicisienko, jak mi dziaduś opowiadali. Arendarko, dajcie no jeszcze kwartę od zmartwienia.

Apostoł idei germańskiej zapalił się teraz ogniem proroka:

— Ja, ja, so war es gewesen, ale najjaśniejszy pan i król nasz kocha polskie kłopy, den bestye, kiedy biją na wojence, to biją, jak cepami. On was

uwolnił, on was będzie obronił przed panami szlacthlicen, on nie chce, aby szlacthlicen mieli Polskę, coby was znów katowali, ale wy musicie stać treu i unterthan po naszej stronie.

— A kłoby tam chciał takiej Polski! Co nam do ojczyzny panów — rzekł ten, który zażądał kwarty. My tam się nie będziemy mieszały do polskich spraw. Zdrowie wasze, panie żandar, w ręce wasze.

— Niech wam idzie na zdrowie, panie Kuba.

— Pijcie z Bogiem!

Żandar wypił, skrzywił się i splunął; tak samo uczynili chłopci.

— A to przekłeta opara, — mruknął drażliwego języka wieśniak — pewnie arendarka porządnie ochrzciła.

Żandar podniósł się na palcach, trzymając drugi kieliszek w ręku.

— Panowie Lendleute! — zawołał. — Wypijmy na pochybel panom szlacthlicom, co to chcą Polski, aby was katowali.

Ledwo tych słów domówił, uderzył go ktoś w rękę. Kieliszek upadł, a wódka rozlała się po glinie karczemnej podłogi.

Żandar obejrzał się z gniewem; Mieczysław stał za nim.

— Kłamco! — wyrzekł.

— Sie hier, Herr Doctor von Frankenberg? — mruknął żandar, salutując syna swego przełożonego.

— Podły kłamco! — powtórzył Mieczysław. A wy, Polacy, nie powinniście wierzyć oszczerstwom najemnika.

Chłopci rozstąpili się w milczeniu. Ten i ów z podełba patrzył na przybysza.

— Szlachcic polski, to wasz brat, a Niemiec wrogiem zaciętym, który czyha, jakby was pożarł. Szlachcic polski do waszego chodzi kościoła, waszą ma wiarę, waszym językiem mówi, a miałby wrogiem być! Jak możecie słuchać bredni takiego nikczemnika, któremu powinniście za bluźnierstwa kości pogruchotać. Kto Polskę hańbi, hańbi i was, i waszą wiarę, bo i wy Polakami jesteście. Może chcecie przejść na niemiecką wiarę?

Chłopci drapali się w głowę, co zwykle czynią, kiedy nie chcą prawdy powiedzieć. Mają i tacy ludzie swój rozum, a uparty, wstrętny, jak wszystkie dusze ograniczone. Łatwiej przekonać człowieka światłego, aniżeli jednego z małuczkich.

Milczy, ukłonił się do kolan, podrapie w głowę, a cichaczem myśli swoje.

— Nibyć to prawda, a jednak... — odezwał się jeden ze starszych.

— Cóż jednak? — pytał Mieczysław.

— A jednak wiemy, co wiemy, co nasi ojcowie przy wieczornicach rozpowiadali. Ehe, albo to Polska naszą ojczyzną! To pański majątek, to pańska ziemia. Co nam się mieszać do pańskich rebelii.

Żandar widząc, że go chłopci popierają, spytniał odrazu.

— Ich werde Sie verhaften, Herr von Frankenberg — wyrzekł z pychą urzędnika, który czuje przeważającą siłę po swojej stronie.

Mieczysław wydobył rewolwer, zwracając go na żandarma.

— Proszę! — odparł. Wstyďte się — zwrócił się do chłopów — jesteście podobni do żydów, którzy zamęczyli pana Jezusa.

Splunął w twarz żandarma i wyszedł.

W ulicy przywitały go psy wiejskie. Chcąc się natrętów pozbyć, wystrzelił. Psy rozbiegły się z głośnym wyciem.

Noc zapaliła tymczasem na niebie tysiące świateł swoich, srebrząc ośnieżone dachy włościańskie.

Mieczysław przebiegł wieś, a kiedy znów na wolnym stanął polu, odetchnął.

— Pod milionem szarych chat nie biją dotąd serca polskie — mówił wśród drogi. — Tam śpią dusze, więc się i ręce nie podniosą, tej duszy korne sługi. Tam nie ma patriotyzmu, bo jest obojętność narodowa, dawnych błędów owoc nieszczęsny. Dopóki ręce milionów pracownego ludu nie sięgną bez zewnętrznych wpływów po broń, będziemy daremnie walczyli. Nowe strugi krwi poleją się, jak Polska szeroka, zginie znów kwiat młodego rycerstwa, porosną szeregi mogił, ale daremnie. Któż tego nie widzi? A jednak trzeba iść naprzód, zamknąwszy oczy, aby ocalić honor narodowy. Czasem bywa rzeź, chwilowo bezowocna, zasiewem niedalekiego szczęścia, a może się kto pośród walki ulituje nad nami, może się i lud na widok krwi przebudzi. Spodziewajmy się, więc naprzód.

I jakby szedł do szturm, wysunął prawe ramię naprzód, ściskając pięść, którą pogroził Wschodowi.

Gwiazdy patrzyły z góry na zapaleńca, mrużąc po swojemu. Widziały one tyle zapałów ziemskich, tyle bitw, morderstw, słyszały tyle przysięg i westchnień, były świadkami tylu scen tragicznych i wesołych, podniosłych i nikczemnych, że się nauczyć musiały filozoficznej obojętności i tego jednostajnego uśmiechu zimowego nieba, który zdaje się szydzić z ludzkich dążeń. A uśmiech taki boli, jak każda obojętność, a boli tem więcej, kiedy

się ufny człowiek do nieba po zmiłowanie zwraca, pokornie prosząc:

— Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie. Ojczyznę, wolność!

Brałem ja wasz kraj, od morza do morza sięgający. Nie dałem wam cudownych i urodzajnych łąk, szumiących borów, błękitnych jezior i ciepłych dworców? Dałem wam wszystko, co dać mogłem, ale wy strwoniliście ojców waszych mienie, a dziś zebrzecie miłosierdzia. Co mnie po waszych kadzidłach, modłach i prośbach wieczornych? Dałem wam rozum, serce, wolę, ramion parę, żelazo pod ziemią i ołów, drzewo i konopie w lasach i na polach, czegoż chcecie więcej. Chciejcie wolności, jako ludzie samodzielni, użyjcie skarbów mojej ziemi, wody i lasów, a ulituje się serce moje nad waszem nieszczęściem. Dzieci i kobiet sprawą jest słabe błaganie. Czyńcie, bo w czynie najmilszy dar mi niesiecie. Niechciejcie odemnie pomocy, albowiem zaprawdę powiadam wam, iż, co raz postanowiłem, tego zmienić nie mogę, a postanowiłem, a byćście byli sami losu ziemskiego sprawcami.

Codziennie tak niebo odpowiada, ale ludzie nie wierzą; codziennie daje niebo naoczne dowody prawdziwości tego głosu, bo patrzy spokojnie na straszne zbrodnie, jakie się dzieją pod słońcem, ale ludzie spoglądają zawsze w górę, zamiast własne ręce obejrzyć.

— Okrutne niebo! — wołają, kiedy sobie sami nędzę zgotowali.

Mieczysław nie należał do tych entuzjastów z roku 1863, którzy z gołą ręką chcieli Polskę odbudować, a po krótkim czasie upadali na duchu, kończąc karierę powstańczą w salonach, gdzie rozpowiadali o swych czynach bohaterskich.

Trzeźwa dusza jego liczyła bardzo zimno. — I dziś rozważył po raz setny, ale czy tak myślał czy inaczej, zawsze wracał do tego samego rezultatu: nie ma wyjścia.

Zamysłony nie spostrzegł, że ubiegł całą milę kiedy psy powtórnie ujadać zaczęły. Podniósł głowę.

— Brzeziny! — wyrzekł.

O kilkadziesiąt kroków stał dwór brzeziński, widny dziś z daleka, bo oświecony od góry do dołu. Ze wszystkich okien biło światło, drzwi były na rozcież otwarte, w dziedzińcu stały powozy, bryczki i sanki.

— Zjazd! — pomyślał Mieczysław, wchodząc do dworu.

Stanął na progu, oglądał się, czy nie wybiegnie jaki lokaj. Ani żywej duszy.

— Nieostrożni ludzie! — szepnął — po polsku obradują.

Postępował naprzód, kiedy się w głębi niewieścia postać ukazała.

Zbliżyli się do siebie, zdziwili. Była to owa dziewczyna z kościoła.

— Jestem Mieczysław Frankenberg — rzekł przybyły, kłaniając się nisko.

— Naczelnny organizator wojskowy naszych powiatów — dokończyła dziewczyna pełnym, altowym głosem. Witam dostojnego gościa w imieniu Brzezin. Pan się dziwisz, że znam twoją misję? Nie dziw się pan, bo się niebawem przekonasz, że my Polki pracujemy tak samo, jak panowie. Szkoda, że nie mam silniejszych ramion.

Ostatnie słowa wymówiła z prawdziwym żalem. Mieczysław ogarnął ją wzrokiem podziwu, pod którym się dziewczyna zarumieniła.

— Witam pana, panie naczelniku, w imieniu Brzezin — powtórzyła ciszej i podała gościowi rękę. Jestem Wanda Brzezińska, synowica właściciela, zastępuję obecnie zmarłą stryjenkę i dla tego proszę się ze wszystkim do mnie jako do gospodyni odnosić, bo sądzę, że pan teraz częściej do nas zawita.

— Chciałem właśnie stryja pani o gościnność na czas dłuższy prosić, bo myślę w Brzezinach rozłożyć główną kwaterę — rzekł on.

W oczach Wandy błysnął w pierwszej chwili promień radosny, ale na krótko tylko. I spojrzeli na siebie długim, badawczym wzrokiem. Zrozumieli się oboje.

— Będzie nam trudno pod jednym dachem, może gorąco — szepnęła Wanda, wysuwając białą swą rączkę z dłoni Mieczysława.

— Rozumiem, ale obecne położenie Polski zajmie nas pewno aż za wiele — odparł Mieczysław.

— Prawda, nie zapomnimy, że kiedy narodu niepodzielnych serc potrzebuje, osobistemi czary łudzić się nie wolno.

— Zgoda.

Podali sobie ręce jeszcze raz; ale tym razem jak dobrzy, dawni przyjaciele.

— Idea Polski niech nas ogrzewa, prowadzi, uczy i wstrzymuje, gdyby się krew w żyłach odezwała.

— Niech się tak stanie — rzekł Mieczysław — a teraz chciałbym się widzieć ze stryjem.

— Obwieszczę przybycie pana w salonie.

Na piętrze brzezińskiego dworu było dziś gwarno, bo prawie cały powiat zjechał się na obrady, dotyczące wypadków warszawskich.

Nie cała szlachta stanęła w pierwszej chwili jako jeden mąż pod sztandarem warszawskiego ruchu; bo, jak zawsze, znaleźli się i teraz rozważnych, zimniejszych głów ludzie, którzy radzili wolną, ale bezkrwawą walkę na drodze legalnej. Niesłusznie posądzano tych ludzi o złą wolę, niesłusznie obrzucano "białych" błotem, bo trudno żądać, aby w chwili tak stanowczej miliony głów jedną miały wiarę. Wszakże kiedy się trąbka wojenna w Polsce odezwała, nie chłop, nie mieszczanin, ale głównie znów szlachta wysłała trupami swych dzieci pola bitew, a potem głównie ona puszcza Syberyi zaludnia.

W szlachcie polskiej utworzyły się dwa stronnictwa. Jedni, młodszy, zapaleńsi, czerwonymi zwani, chcieli powstania z bronią w rękę, — drudzy, starsi, biali, jak ich ochrzczono, przynosili walkę bezkrwawą. I ci i owi Polskę kochali, choć w odmienny sposób. Kto widział lepiej? przyszłość okazała. Zdrajców nie było w pierwszych miesiącach 1863 roku. Byli ludzie różnych pojęć, ale nigdy złej woli. Kąkol ten wyrósł dopiero później, kiedy serce narodu, bijące głośno i szybko — zaczęło po klęskach cisszej, bez nadziei uderzać.

Jeszcze komitet centralny nie ogłosił powstania, ale już zbierał po kraju podatki, sposobiąc się do krwawego wystąpienia. Podatki te były punktem spornym i powodem do częstych zjazdów. W tym też celu zebrała się dziś powiatowa szlachta u pana Brzezińskiego, który, choć starszy wiekiem, bo żołnierz z 30-tego roku, do czerwonych należał.

Radzono tak i owak, nie dochodząc nigdy do rezultatu. Sute obiady, głośne zabawy kończyły

zwykle powiatowe zjazdy. Na taki koniec zano siło się i dziś, kiedy do sali Wanda weszła.

— Panowie! — wyrzekła głośno — uciszcie się, bo zjechał do nas właśnie anonsowany organizator wojskowy.

Pan Brzeziński, wysoki atletycznej postaci szlachcic, z białym wąsem i podłysiałą czupryną, postąpił natychmiast ku drzwiom, w których się Mieczysław ukazał. Ócz kilkadziesiąt zwróciło się na postać agitatora, który ani drgnął pod tyłoma strzałami. Spokojnie powiódł okiem w około, i uklonił się lekko.

— Jestem Mieczysław Frankenberg, a od dziś nazywać się będę Mieczysław Poraj, gdyż przyjąłem imię matki mojej.

Całe towarzystwo podniosło się.

— Na wstępie urzędowania mego w tych powiatach pozwalam sobie zwrócić uwagę na to, że ludzie ostrożni nie obradują przy otwartych drzwiach, kiedy o ważne chodzi sprawy, a potem sądzę, iż czas przejść od bezowocnych obrad do czynu. Cofnąć się już nie możemy, bo Moskał pcha sam do czynu, wahać się już nie wolno, bo minął czas, kiedy było inne wyjście. Stanąć musimy w szyku, bez wyjątków pod chorągwią jawnego buntu, a ktokolwiek pójdzie na ubocze, aby rozważać, co robić wypada, będzie jako odstępcą, którego imię polskie pokolenia słuszną hańbą napiętnują. Panowie, niech żyje wolna Polska!

— Niech żyje! — odpowiedziała młodzież, a starzy milczeli.

Widział to Mieczysław i szepnął do siebie:

— Jeszcze nieczas...

V.

Trzy dni potem składał żandarm burmistrzowi, swemu przełożonemu, raport z tygodniowej czynności.

Żandarm stał w progu kancelaryi w postawie wojskowej, uniósłszy pałasz do boku i opowiadał o zajściu, które miał z synem szefa. Szulc, nieodstępny towarzysz pana, krzątał się w pokoju, spoglądając w czasie raportu na twarz najwyższej władzy miejskiej, ażali nie dostrzeże jakiego wzruszenia. Ale burmistrz nie zmieniał się. Trzymał w ręku jakieś akta, które przerzucał, słuchając. Stał plecami wsparty na biurku z godnością wyższego urzędnika, któremu się nie wolno blamować przed podwładnym.

— Nic więcej? — zapytał, kiedy żandarm raport skończył.

— Skończyłem, panie kapitanie!

— Dóbrze. W tych dniach rozpoczną Polacy wojnę z rządem moskiewskim, z którym nasz król i pan się przyjaźni. Co pan każe, musi sługa wypełnić, jak wiecie z instrukcyi wojskowej. Jakie stanowisko rząd nasz wobec ruchawki zajmie? jeszcze nie wiemy, ale gdyby nam kazał chytać buntowników, będziemy ich ścigali, choćby nam przyszło własne dzieci skuwać w kajdany. Wy panie żandarmie, będziecie czuwać nad przyległemi wsiami, a ty Szulc nie spuszczaaj z oka ruchu miejskie-

go. Gdyby siły nasze nie starczyły, poprosimy o komendę wojskową. Jeżeli się dobrze sprawicie, nie omieszkać polecić was w rejencyi do awansu.

— A gdyby syn pana — wtącił żandarm.

— Gdybyście syna mego na gorącym schwytali uczynku — przerwał burmistrz szybko — możecie go aresztować, jak każdego innego buntownika. — Możecie odejść.

Żandarm zwrócił się na pięście i wyszedł.

Szulc otworzył usta i oczy bardzo szeroko.

— Panie kapitanie — mruknął.

— I cóż, panie kapitanie? — rzekł burmistrz, nie podnosząc oczu. Czy nie dość wyraźnie mówiłem?

— Tak, ale...

— Nie ma żadnego ale, mości Szulc, żadnego, powtarzam. Gdzie rząd każe, ustają głosy krwi i przyjaźni.

— Hm, a jednak...

— Milcz-że, gawronie, a słuchaj. Czy chciałbyś na stare lata pójść z torbami, pod kościół, może od wsi do wsi, aby cię kundłe przepędzały, a chłop wyszydzał?

— Herr Jesus? — zawołał Szulc, i cofnął się o cały, nie przepisany regulaminem, krok.

— A torba żebracza czeka nas, jeżeli nie będziemy gorliwie obowiązków wypełniali, o czym mi radca policyjny nadmienił. W przeciwnym razie zostanę radcą, kawalerem orderu, a ty nadkapralem w Poznaniu.

— Hm, to wszystko ładne rzeczy, ale co na to żony powiedzą.

— Żony? Cóż nam do żon? Zrobiliśmy wielkie głupstwo, żeniąc się z Polkami...

.... — Cyt, bo pani burmistrzo...

— Głupiś! Czy my to mazgaje czy co?

— Naturalnie, czy my to mazgaje czy co? —
prawił Szulc, wyciągając szyję. Oho, my nie maz-
gaje, ani pantofle, my się nie damy. Służba pierw-
sza, a potem dopiero idą żony. Niech mi no moja
wejdzie w drogę... hm... hm... co się to poro-
biło.

— Szulc! — wyrzekł burmistrz słabszym gło-
sem.

— Panie kapitanie!

— Przejdź się po mieście, i zobacz, co tam sły-
chać.

— Czy mogę aresztować, gdyby...?

— Jeszcze nie, bo nie mamy dotąd pozwolenia
z góry. Chodzi tylko o to, abyśmy wiedzieli, jaki
jest koloryt miasta.

— Aha.

— Jakie usposobienie ludzi.

— Aha, wiem; co mówią, co czynią, co jedzą.

— Co myślą i co czynią.

— Czy leją kule i armaty kują, czy ostrzą zęby
na pruskiego orła, co wisi na ratuszu, jak w roku
1848. Dam ja im.

— Tylko ostrożnie, abyś sprawie przedwczes-
ną gorliwością nie szkodził.

— A dostanę ja też order?

— Polecę cię do odznaki honorowej.

— Bo też, co prawda, byłby czas, żebym co do-
stał w dziurkę od guzika, bo mnie szewcy wcale
nie szanują. Szulcikiem nazywają, Szulcikiem. —
Poczekajcie, łyki, ehe...

Kiedy się drzwi kancelaryi za Szulcem zamknę-
ły, opadł burmistrz na siłach. Udawana wobec
podwładnych odwaga naprężyła nerwy jego nie bar-
dzo silne tak dalece, że teraz, kiedy nie potrzebo-

wały prostować służalczego ciała, obwisły jak stru-
ny stąrganej harfy. Surowy urzędnik złamał się
wobec samotności we dwoje i usiadłszy w skórza-
nym fotelu, opuścił ręce na kolana, patrząc bez-
myślnie przed siebie.

Krew i służba, człowiek i urzędnik! dwa te
pierwiastki, składające się na charakter burmistrza,
nie skończyły jeszcze zaciętej walki. W namiętno-
ści, w rozdrażnieniu rośnie i najstarszy człowiek
w siłę męskiej woli, ale kiedy się usta drżące uspo-
kaja, a krew wzburzona kipieć przestanie, wtedy
wraca rozważa.

Łatwo przeklnie się syna, łatwo zabije się na-
wet w gniewie człowieka; cóż kiedy stan rozdraż-
nienia szybko mija.

Przekląłeś syna, jedyne dziecko dla świecideł-
ka, co się orderem zowie, dla tytułu, bez którego
się obyć możesz. Podły i nikczemny! Chcesz
prześladować naród, z którym się zrosłeś, którego
serdeczność tylekroć cię ogrzewała, krew którego
płynie w żyłach twej żony i syna. Nikczemny, po-
dły służalcze!

Burmistrz obejrzał się dziko, ścisnął pięści.

— Jesteś Niemcem, oficerem, urzędnikiem, —
przysięgałeś królowi na wierność i posłuszeństwo,
a chcesz się łączyć z wrogami twego pana. Wiaro-
łomco, odstępczo tradycji swego rodu, renegacie!

Burmistrz zerwał się z fotelu i biegł po kance-
laryi, załamując ręce.

— Dokąd, dokąd? Przekłęte małżeństwo!

Kiedy się nazajutrz po zajściu z Mieczysławem
przebudził, a lokaj mu doniósł, że panicz bez wieści
znikł, westchnął. Był przecież ojcem.

Czekał dwa dni, sądząc, że syn wróci, omijał
pokoje żony, aby się nie spotkać z pobladłą jej

twarzą. Dwa dni minęło, a w trzecim dowiaduje się od żandarma, że własny syn jego mierzył rewolwerem do pruskiego munduru. Trzeba rozumieć duszę urzędniczą, aby odczuć przygnębiające wrażenie, jakie na burmistrzu ta wieść sprawiła.

— To nie mój syn — wołał — to wyrodek, verfluchter Pollak, którego pochwycę...

— Ha? Co to było? Jakiś głos woła we mnie: zbrodniarzu! O, o... nie-mogę wytrzymać.

Zarzucił futro na siebie, wziął czapkę i wybiegł do miasta.

W pierwszej restauracji powiatowego miasta zbierała się zwykle pod wieczór gromadka bogatszych mieszczan. Przybywał tu i lekarz, czasem proboszcz, a prawie codziennie pan burmistrz. Od lat wielu panował między burmistrzem a mieszczanami stosunek przyjaźni. Pili razem, grywali w karty, odwiedzali się jak dobrzy sąsiedzi. Miasto uważało urzędnika za „swego“, a burmistrz lubił wesołość Polaków.

Do tej restauracji zmierzał i dziś. Nauczysz się od Polaków szanować napitek jako lekarstwo od frasunku, chciał zalać czuprynę i mary w niej pokutujące.

Kiedy wszedł, siedział już przy stole powiatowy doktor z proboszczem. Rozprawiali coś żywo, ale zamilkli na widok burmistrza, odwracając głowy do ściany.

— Cóż to — pomyślał burmistrz. — Dawniej wyciągali do mnie przyjaźnie dłonie. Tak, jestem Niemcem.

Zaciął zęby, aż zgrzytnęły.

— Wojciech, przynieś butelkę madery — rozkazał posługaczowi, siadając przy osobnym stole.

Wojciech przyniósł żądany napój. Burmistrz

napełnił kubek i wychylił jednym haustem. Gorące wino Hiszpanii rozgrzało mu wnętrzości. Wypił drugi kubek, potem trzeci i śmielej już po restauracyi się obejrzał.

Proboszcz z doktorem szeptali znów. Nadchodzili inni goście, a każdy odwrócił się na widok burmistrza.

Odwracają się odemnie jak od trędowatego — mruczał burmistrz i nalał czwarty kubek.

Wino grzało coraz więcej, krew znów kipieć zaczęła, a gniew odzywał się namiętnie.

W tej chwili rozstrzygała się w nim walka. — Gdyby do niego teraz po dawnemu przemówili, — gdyby go byli uznali za współtowarzysza i powiernika, kto wie, na którą by się stronę, słaba, od wpływów zależąca dusza jego przechyliła. Ale wobec wyraźnej niechęci Polaków przebudzał się w nim nienawistny Niemiec, który od lat tysiąca przez słowiański żywioł na wschód, postępując wolno, ale systematycznie.

Kiedy się burmistrz wewnętrzną walką trawił, przysiadł się do niego proboszcz, otyły księżyną z szeroką, poczciwą twarzą.

— Słuchajcie-no, burmistrzu, czy to prawda, co o was w mieście rozpowiadają? — zapytał proboszcz.

— A cóż takiego o mnie mówią? — bąknął zapytany opryskliwie.

— Mówią, żeście syna waszego, dzielnego Mieczka, z domu wypędzili.

— A tak, wypędziłem.

— To niedobrze, burmistrzu, bo Mieczek wam nigdy wstydu nie robił, a i dziś zabrał się do świętej sprawy.

— Zależy to od sposobu widzenia, księżu proboszczu.

— Oczywiście, jednak zdaje się, mamy prawo po was żądać, abyście stanęli po naszej stronie. — Macie Polkę za żonę, Polaka syna, żyliście z nami przez lat wiele...

— Wszystko się to skończyło od niedawnego czasu — wtrącił burmistrz niecierpliwie — nie ma o czem mówić.

— Właśnie jest o czem mówić, bo trzeba nam wiedzieć, czego się możemy spodziewać po naszym reprezentancie.

— Wierności dla tronu i gorliwego wypełniania obowiązków, co się samo przez się rozumie.

— To rzecz inna — rzekł proboszcz, więc rozbrat na zawsze.

— Proboszczu!

— Czego pan jeszcze chce?

— Powiedzcie mi szczerze, czego wy chcecie od naszego rządu? Czy możecie mieć lepiej pod własnym królem?

— Teraz przez was Niemiec mówi, panie kapitanie, którego hasłem: "ibi patrią ubi bene". Ale my Polacy jesteśmy jak Lapończycy, którzy umierają w Neapolu z tęsknoty za śnieżystymi północy chatami, my chcemy naszego kraju, naszych sztandarów, my chcemy wolności, bo Polak nie sługa, nie zna co to pany...

Całe towarzystwo, które się przysłuchiwało rozmowie proboszcza z burmistrzem, zaśpiewało głośno: "Polak nie sługa, nie zna co to pany, nie da się okuć przemocą w kajdany".

Burmistrz zerwał się; Niemiec zapanował w nim, wołając natarczywie:

— Nie ma zgody między tobą, a tymi tam.

Zakławszy przez zęby:

— Verfluchte Polacken! — wybiegł z restauracji.

Będzie on odtąd nieprześląganym wrogiem narodu, który mu zatruł stare lata, będzie się za utratę syna i spokoju domowego, za burze duszy mścił na sprawie, bez którejby był cichutko do portu życia, do grobu dopłynął.

W tym samym czasie klęczała żona jego w sypialnym pokoju przed obrazem Matki Boskiej z Częstochowy, zanosząc się od płaczu, bo i w niej przebudziło się sumienie, ale polskie.

Młodość nie liczy, nie sięga okiem poza jutro. Chwilowe uniesienie, namowa starszych, czasem instynkt, zowiący się miłością, starczy jej za przewodnika. Ale chwilowe uniesienie ulatnia się, jak para gotującej się wody, a życie nie składa się z uniesień i zapałów.

Kiedy te przeminą, wraca codzienne życie, które małżeństwo niby jarzmem sprzęga. Biada parze, jeśli się nie dobrała, bo ciągnąć musi pług jeden: a częstokroć przykry; biada, jeśli małżonków nie łączą wspólne interesa i sympaty.

Jakież łącznik być może między Niemcem, a Polką? Dwa różne światy, dwa odmienne kierunki, a w obecnym położeniu — dwa wrogie obozy.

Kiedy panna Poraj za kapitana v. Frankenberg wychodziła, miała lat ośmnaście. Ładny oficer podobał się nieopatrznej dziewczynie. W domu była bieda, a cóż ona nie może, ta przeklęta wiedźma! Więc poszła za burmistrza, wierząc, że z czasem męża przerobi. Ba! Z lisa nie zrobi się owcy. Z początku szło jakoś, dopóki synek w dziecięcych chodził sukienkach, ale kiedy mówić zaczął, potem myśleć, w końcu czynnie występować, zjawiły się

domowe niesnaski, a nawet gwałtowniejsze sceny. Tylko wielki rozum burmistrzowej wstrzymywał konieczne nieszczęście.

Burmistrzowa była Polką. I jej serce drgnęło z całym narodem; nie mogło być inaczej. Uroczą młodość, najpiękniejsza epoka człowieka stanęła przed nią w odświeżonej szacie. Co syna bolało, dotknęło i matkę. A ten syn musiał uciekać z rodzinnego gniazda, jak zbrodniarz wśród nocy. — Własny ojciec go wypędził...

— Nie mam męża — wyrzekła.

VI.

Za późno...

Niczem już teraz wołania trzeźwych i rozsądnych, bo po kraju uwijają się wysłańcy centralnego komitetu, organizując powstanie.

W nocy z dnia 15 na 16 stycznia ma się odbyć branka w Warszawie, ale dowódcy ruchu krzyknęli: nie stanąć pod chorągwią Moskwy! i naród nie stanął.

Młodzież ucieka do lasów, zbroi się w noże, rewolwery i liche strzelby — gotowa do podjęcia walki z kolosem Północy. Jeden okrzyk rozlega się po całym kraju: powstanie, do broni! i odrazu ucichły spory stronnice, bo naród zrozumiał, że teraz tylko odwagą i poświęceniem wycofać się może z konfliktu.

Na wezwanie komitetu centralnego, który się wyniósł do godności narodowego rządu, podnosi się lud w całym kraju, tak iż dnia 25 stycznia, kiedy car stan wojenny i doraźne sądy w Polsce ogłosił, walka na dobre się rozpoczęła.

Zamilkły pobożne pieśni, skończyły się bezkrwawe demonstracye, bo w lasach kampinoskich padły już pierwsze strzały.

— Do broni, do broni! — rozlega się okrzyk daleki.

W Brzezińskim dworze panuje teraz bezustannie ruch niezwykły, bo tu rozbił główny organiza-

tor stałą kwaterę. Zkąd blisko za kordon moskiewski, a lasy aż do samej granicy się ciągną, więc łatwa przeprawa.

Mieczysław siedzi od dwóch tygodni cały dzień na koniu. Nie je, nie śpi, nie odpoczywa, bo wszędzie być trzeba, a czas tak szybko ubiega. W przelocie tylko widzi Wandę, która w swój sposób pomaga. Ale każdym razem zatapia się w jej oczach głębiej, a i ona uśmiecha się do śmiałego agitatora, którego wszyscy podziwiają. Nie czas dziś “włosy splatać i rozplatać”, nie czas bawić się w sielankę, kiedy się wielka narodowa tragedia rozpoczęła. Gdzie tyle smutnych jęków na polach bitew wtóruje konającym, gdzie całe serce w jedną stronę się zwraca — byłaby osobista, samolubna miłość zbrodnią.

Tak sądzi Mieczysław, tak myśli Wanda, ale miłość nie wiele pyta o ludzkie rozумы. Nad grobem matki rzuca pociski. Patrz! Pocisk dotknął serce i rozpałił w niem płomień, który różowym blaskiem całego człowieka oświecał. Wśród trupów i grobów wśród zgnilizny pieśni amor się uśmiecha a zawsze po swojemu... mile, słodko, niewinnie. Tylko potężna dusza uchodzi bezkarnie z jego sieci. Mieczysław i Wanda nie byli zwykłymi charakterami.

Że się kochają, wiedzieli od pierwszego spotkania, ale nie zdradzili się dotąd słowem, aby nie zaślabił, gdyby los kraju od nich życia zażądał.

Tak mijały ruchliwe dni. Z za kordonu dochodziły już wieści o wygranych i przegranych bitwach, a z Księstwa szły coraz nowe posiłki.

Pierwszego marca miał Mieczysław przeprowadzić większy oddział przez granicę. Czekano tylko na ciemności nocne.

Mieczysław chodził po izdebce swojej we dworze brzezińskim. Miał na sobie tę samą czamarę i futro to samo, ale u boku jego dzwonił pałasz, ile razy uderzył w ostrogi.

Wyrzwał oknem.

— Już czas! — wyrzekł. Rzecz dziwna! — dodał — tak mi się zdaje, jak gdybym powinien raz jeszcze dłoń Wandy uściskać. Trzeba słuchać wewnętrzny głos, który bywa przyjacielem człowieka, choć się z niego półgłówki śmieją. Któż tam wie, co i kto w nas siedzi?

Zeszedł po schodach na dół, do pokojów Wandy. Odchylił lekko drzwi saloniku, w którym zwykle przebywał i zajrzał do wnętrza.

Między dwoma oknami wisiał portret Kościuszki. Przed nim klęczała Wanda, otoczona młodszym rodzeństwem, sześciorgo dzieci włożyło drobne rączka i powtarzało za siostrą słowa modlitwy.

— Ojczyzna nasz, któryś jest w niebie — modliła się Wanda — który widzisz wszystko, co się dzieje na ziemi, zmiłuj się nad niedolą mej ojczyzny, a ukorzymy się przed Tobą. Święć się imię Twoje, Panie Panów, przyjdź królestwo twoje na całej, całej ziemi, abyśmy, biedni śmiertelnicy, kochali się nawzajem, zamiast się szarpać jak zwierzęta. Królestwo twoje — to sprawiedliwość, to błogosławieństwo, to miłość, a jestże sprawiedliwością niewola jednego narodu? O, przyjdź królestwo twoje, a wróci nam ojczyzna. Bądź wola twoja na całym świecie; ojczyzna twoja wola niech rozkaże dzieciom, aby się nie okradały, zabijając, aby żyły obok siebie w zgodzie. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj. Daj nam skibkę suchego chleba, ale pod wolnym Polskiej niebem. Nie chciej, abyśmy dłużej każdy odłamek gorzką łą niewoli zapra-

wiali. Na cóż nam kołaczki i przysmaki inne, kiedy ich w spokoju spożyć nie możemy! Odpuść nam winy, ojców naszych grzechy, za które długo pokutowaliśmy, odpuść Panie, dzieciom, a wtenczas i my o dawnym ucisku zapomnimy. Nie wódz nas na pokuszenie, na krwawą wojnę, na mordy i zabójstwa, które są niegodne synów człowieczych, ale nas zbaw od niewoli, o zbaw nas, miłościwy Ojcze!

Podniosła głowę. W wielkich jej, czarnych oczach drżały łzy, któremi opowiadała serdeczną boleść Tadeuszowi Kościuszce, co z mieczem w ręku przysięgał wierność ojczyźnie. Blask świec woskowych zbielił więcej jeszcze twarz jej i tak bladą.

Mieczysława pchało coś ku niej, ku tej polskiej dziewczycy, którą miłość ojczyzny wyniosła do godności kapłanki, co niesie na ołtarz narodowy czyste serce i poświęcenie bez granic. Upaść jej do nóg, ucałować kraj jej szaty — nie, nie, pożegnanie byłoby trudniejsze, bo kto się raz dotknął ukochanej postaci, ten zostaje przy niej myślą, całą duszą, a oderwać się nie może.

— A teraz, dzieci miłe, — mówiła Wanda po chwili — teraz zmówcie paciorków za dusze poległych już braci naszych i tych, co jeszcze wczesną śmierć w lasach znajdują, za spokój waszego tatki, za szczęście pogrzebowe mamy, za bezpieczeństwo Mieczysława Poraja, którego niech Bóg dla sprawy naszej jak najdłużej zachowa.

Dzieci pochyliły główki, szepcząc pacierze — Wanda modliła się z podniesioną twarzą.

Skończyła, podniosła się z kolan, a ujrawszy Mieczysława, podeszła do niego bez wahania.

— Dziś przeprowadzasz, panie Mieczysławie,

nowy oddział za granicę? Wszakże prawda?

— Chciałem się z panią pożegnać, bo mi coś mówi, że się dziś nie zobaczymy.

— O ile wiem, nie zostajesz pan za kordonem.

— Chcę wrócić, ale mi się zdaje...

— Przeczucie...

— Tak, przeczuciem nazywa się ten głos cichy, który mi szepce, że pani może długo nie ujrzę, a przecież...

— Cyt, żadnego a przecież. Jeżeli nam Bóg pobłogosławi, a będziemy żyli po dokonanym czynie, możemy się odnaleźć, ale tymczasem nie zrywajmy ugody. Polska, — naszym hasłem.

Mieczysław pochylił czoło.

Ona złożyła ręce na głowie jego mówiąc:

— Błogosławię cię, rycerzu Polski, jedź i wracaj szczęśliwy; — a ciszej dodała — po ojczyźnie masz w sercu mojem pierwsze miejsce.

Podali sobie obiedwie ręce i rozeszli się bez afektacyi.

Na dziedzińcu stał już koń osiodłany. Mieczysław wskoczył na niego, i wspiąwszy go ostrogami, pogonił w las, do obozu. Na progu dworku stała Wanda, robiąc krzyż w stronę, którą kochanek odjechał.

— Jedź i wracaj szczęśliwy, kochany mój, najdroższy, który umiałeś poświęcić najbliższą rodzinę dla matki Polski. Jesteś wyklętym sierotą, nie masz ojca ani strzechy, ale jeżeli wrócisz cały, Wanda zastąpi ci tysiące ojców.

W brzezińskim lesie, na nowinie, otoczonej stuletniami dębami, czekał oddział powstańców na organizatora wojennego, który miał dowództwo w ręce innego naczelnika oddać.

Było to kilkaset ludzi, pieszych i konnych, z których każdy niósł ojczyźnie poświęcone serce, i

wiarę w powodzenie. Prawie wszyscy młodzi, patryoci całą duszą. Rzucili ławy szkolne, sale akademickie, warsztaty, dworki szlacheckie — rzucili wszystko, bo wierzyli, że wrócą zwycięzcami, bo szli z błogosławieństwem matek, sióstr i kochanek. Pierwsze pola bitw zasłał kwiat młodzieży polskiej. Tego kwiatu żal. Później szła różna hołota; i tacy, którzy nie wiedzieli, co z sobą począc, i tacy, co chcieli w zawierusze kieszenie napełnić, — awanturnicy, złodzieje, pijawki, nietoperze, karyerowicze, lokaje i służba inna bez miejsca, nie mająca nic do stracenia, ale pierwsi wojownicy byli bez wyjątku kapłanami idei polskiej. Kto na tych żołnierzy rzuca błotem, ten nie wart imienia patryoty. I cóż, że polegli, nie dokonawszy zamierzonego celu? Tyśiące ludzkich zamiarów nie wydaje natychmiast plonu, ginie na pozór marnie, pada bez rozgłosu, ale zasiew kiedyś rzucony, rodzi później w dwójnasób. Krew szlachetna, kiedy się poleje dla idei, jeśli nie więcej, to przynajmniej winę ojców zmniejsza i tradycje narodowe utrzymuje. Cześć im!...

Oddział czekał na organizatora niecierpliwie.

Złożony z najrozmaitszych ludzi, ubiorów i broni wyglądał bardzo malowniczo. Tu stał na koniu syn szlachecki w barankowem futerku z pałaszem przy boku, ze strzelbą przewieszoną przez ramię, z butną miną młodzieńca, który marzy o dowództwie i zwycięstwach, tam błysnęła w świetle księżycy kosa, na kiju osadzona. Jedni stali w gromadach, inni siedzieli przy ogniskach, nucąc półgłosem narodowe pieśni, lub śmiejąc się wesoło, jak gdyby szli na przechadzkę. Szczęk broni, śmiechy, gawęda, rzenie koni — a na wszystkich twarzach niecierpliwość, oto zwyczajny koloryt takich oddziałów.

W tem przygalopował oficer do środka.

— Baczość, formuj się, naczelnik się zbliża.

Cały oddział, jak siedział i stał, wyciągnął się sznurem bez porządku wojskowego, którego dotąd połowa nie знаła.

Mieczysław stanął przed frontem.

— Niech żyje! — zawołano zewsząd dzwoniąc w kosy i pałasze.

— Bóg zapłać! — odpowiedział naczelnik, uchylając czapki. Polacy! — mówił po chwili, kiedy się gwar uciszył — za godzinę przejdziecie granicę pruską, aby podjąć walkę z carem, za godzinę będziecie wyjęci z pod prawa, prześladowani, ścigani, może wieszani. Jeśli jest między wami kto słabszego serca, bojaźliwej duszy ochotnik, niech wystąpi, a pozwolimy mu wrócić do ciepłych domów i pełnych stołów.

W szeregu nikt się nie ruszył.

— Więc wszyscy? — pytał naczelnik.

— Wszyscy! — odpowiedziano chórem.

— Jeśli tak, mianuję was z tą chwilą żołnierzami Polski. Żołnierze! Kto staje pod chorągwią, traci wolę, myśl, zachcianki, kochania swoje, bo słuchać musi. Jeśli wam się zdaje, że się tam za kordonem bawić możecie we włóczęgę, mylicie się. Tam słuchać trzeba, jak wam powie kodeks wojskowy.

— Idziemy bić się za Polskę — zawołał ktoś z szeregu.

— Milczeć, kiedy przełożony mówi, — rzekł Mieczysław. Otóż, jak sobie wojenkę wystawiacie. Więc proszę pamiętać: posłuszeństwo jest przednią zaletą żołnierza, główniejszą od śmiałości i odwagi. Żołnierze! Idziecie do Królestwa walczyć za najświętszą sprawę Polaka, za wolność ojców, braci,

matek, sióstr waszych i za waszą wolność. Wróg daleko silniejszy od nas użyje wszystkich środków godziwych i niegodziwych, aby nas powalił. Kość rzucona już, odwrót niemożliwy, hasło jedyne: — śmierć albo zwycięstwo! bo czy tak, czy owak, walczyć nam trzeba. Stańcie się lwami, tygrysami, walczcie bronią, ręką, zębem, gdyby było potrzeba, nie oglądajcie się na życie, które na wojnie przestaje mieć wartość. Kto zginie, będzie miał pomnik w sercu narodu, kto haniebnie ucieknie, lepiej mu, żeby się nie był rodził. Śmierć albo zwycięstwo! Czy tak?

— Śmierć albo zwycięstwo! — rozległ się okrzyk tak głośny, że ptactwo leśne, ze snu zbudzone, z drzew i dziur się zrywało.

— Pułkownik Brzeziński! — zwrócił się Mieczysław do obywatela.

Brzeziński stanął przed frontem.

Mieczysław wziął chorągiew, którą Wanda uśmieła, uniósł ją wysoko ponad głowę.

— Oto wasz dowódca, przez rząd narodowy mianowany pułkownik polski. On was powiedzie na śmierć albo zwycięstwo, on was nie opuści, on położy stare, wysłużone kości w potrzebie krajowej. Za nim odtąd pójdziecie, dokądkolwiek rozkaże, nie pytając, nie myśląc. Bacznosc, prezentuj broń!

Wojsko prezentowało broń, a pułkownik Brzeziński dziękował dobytym pałaszem. Staremu wojakowi rośło serce na widok polskiego wojska.

— Oddaję ci w imieniu Rządu narodowego prozec i dowództwo nad oddziałem, pułkowniku — kończył organizator — robota moja skończona, twoja się rozpoczyna.

Pułkownik wziął chorągiew z rąk Mieczysława i ucałował ją. W siwych jego oczach błysnęły łzy. Wokoło panowało milczenie...

Kiedy Mieczysław ustąpił na ubocze, podniósł dowódca chorągiew i wygłosił rotę przysięgi, którą cały oddział głośno za nim powtarzał.

— A teraz, w imię Boże, do roboty. Formuj się — komenderował dowódca. Konnica naprzód i w tył, w środek piechota i furgony.

W pół godziny potem stał oddział do marszu gotów.

— Bacznosc, naprzód marsz! — komenderował dowódca i oddział ruszył z miejsca.

Długim sznurem wił się tabor między drzewami lasu, zdążając manowcami ku granicy. Zrazu panowało milczenie, bo młode serca uderzyły w chwilę stanowczej dość głośno, ale kiedy ktoś odważniejszy zaintonował „Boże coś Polskę“, popłynął szczytny śpiew z kilkuset piersi, jak szum rozkołysanego morza. Nad głowami oddziału stał księżyc z gwiazdami. I on zdawał się posuwać, a patrzył tak mile, tak przyjaźnie na ciągnące ofiary, jak zawsze. Jemu jest dola kilkuset ludzi obojętna, bo go śmierć milionów nie wyprze z odwiecznych posad, a przecież chcieliby ludzie w takich chwilach, aby i przyroda z nimi sympatyzowała. Czy słusznie, czy niesłusznie, ale obojętność martwego i nadprzyrodzonego świata wobec cierpień lub zapałów rozłożystszych — boli zawsze człowieka.

— Niech was geniusz Polski prowadzi, niech was ocali — rzekł Mieczysław.

— Do widzenia, naczelniku! — zawołano.

— Wracajcie zwycięzcami.

— Naprzód marsz! — zakomenderowano znów i oddział poszedł dalej.

Długo stał Mieczysław przy słupie granicznym, długo patrzył z żalem na tę gromadę szlachetnych młodzieńców, aż, kiedy pieśń gdzieś daleko w polu

i w lasach utonęła, konia zawrócił i galopem drogą do Brzezin pospieszył.

Już widział z dala oświecone okna brzezińskiego dworu, błyszczące między drzewami.

— Wanda jeszcze czuwa — pomyślał.

— Mamy go nareszcie! — odezwał się w tej chwili głos z za drzewa. Niech się pan podda, panie doktorze, bo mamy prawo strzelania do uciekających.

Mieczysław szarpnął konia — wy dobył rewolwer — teraz padł strzał z rowu — koń wspiął się, chrapnął, łypnął powietrza i upadł, przywalając sobie nogę jeźdźca.

Mieczysław uczuł gwałtowny ból w nodze, ale nie zważając na prawdopodobne złamanie kości, dobył pałasza.

Trzech żandarmów pruskich wypadło z rowu. Pierwszy ten sam, który chłopów w karczmie pouczył, przypadł z pistoletem w rękę.

— Niech się pan podda, panie doktorze, bo strzelę.

Ledwo domówił tych słów, upadł, ugodzony kulą z rewolweru Mieczysława.

Rozległy się znów dwa strzały. Mieczysław zakrył twarz ręką, upuścił rewolwer, i usunął się na ziemię, tracąc przytomność. Był podwójnie ranny — w rękę i w nogę.

VII.

W mieście Tobolnie buntuje się ludność.

Już od rana schodzą się mieszczanie na rynku, przed ratuszem i spoglądając w górę, grożą pięścią, wymyślając, co się zmieści na burmistrza.

— A to przybłęda, zdrajca. Przez lat trzydzieści prawie był z nami za pan brat, a dziś, kiedy się trzeba stanowczo na jedną stronę przechylić, wyłażą szydła z miecha. Poczekajże, Niemcze, już my ci w Tobolnie zagrzejemy, że polecisz między szwabską nacyę niby oparzony. Czy to świat słyszał, czy widział kto kiedy, aby ojciec rodzzonego syna za kraty wsadził, rannego, biednego Mieczka, co był dumą naszego miasta i kilku powiatów. Hej, psia wiaro, pludrze, tyś poganin, a nie katolik.

Miasto rozgniewało się, bo dziś przywieziono Mieczysława do powiatowego więzienia.

— Własny rodzic, własniuteńki! Czy to świat kiedy słyszał. Przewraca się wszystko do góry nogami. Tfu, tfu!

Kiedy tak szewcy, stolarze i krawcy radzą, nawija się kapral Szulc. Idzie pysznie, z podniesioną głową, bo od czasu wybuchu zbrojnego za kordonem, ma kapral większe atrybucye. Wolno mu rozpędzać tłumy, wolno mu odbywać rewizye, arestować w imieniu króla, przemawiać z góry do bojaźliwych, a krótko rozkazująco do śmiałych. — Dusza urzędnicza urosła w kilka tygodni do majes-

tatu chodzącego prawa; czuje się pewną, niezwykłą, a wiadomo, iż najmniejszy urzędniczek najszerszej się puszy, kiedy dostąpi większej władzy. Żandarm stoi pokornie u wrót szlacheckiego dziedzińca, dopóki prosi o wiązkę siana, ale niechna jedzie z mandatem, zaraz ci przed sam pałac galopuje.

Szulc rusza wąsami, trzyma się prosto, szyi nie zwraca ani w prawo ani w lewo, patrzy przed siebie, albowiem zdaje mu się, że już orderami świeci.

— Szulc, stucnajcieno, Szulciku, co wy też wyrabiacie za komedye z naszym paniczem, he? — pyta szewc Okuniewicz.

— Nazywam się pan kapral. Słyszycie łyki? Pan kapral heiss ich — odpowiada Szulc.

— Eh, co tam. Abo my to raz pomarańczówkę przepijali! — wtrąca kowal Guzdrewicz. Kto widział taką gębę stroić niby stara panna.

— Co było, to było, ale teraz nie jest i basta. Z drogi panu kapralowi.

— Nie żartowalibyście, panie Szulc.

— Z drogi, powtarzam, bo muszę aresztować.

Szulc zadzwonił starem pałasiskiem, a gromada rozstąpiła się. Taka to potęga przyzwyczajenia, taki urok władzy, choćby nie kochanej.

Szulc maszerował wprost do ratusza.

W kancelaryi siedzi burmistrz przed biurkiem, zarzuconem listami. Kiedy mu doniesiono o ujęciu syna, ucieszył się bardzo. Sława Mieczysława, choć się ukrywał pod nazwiskiem matki, rozbiegła się szybko po okolicy. Już dwa razy zwracała rejencya uwagę na niebezpiecznego agitatora, nie przeczuwając, że Poraj jest synem Frankenberga; o czym tylko miasto wiedziało.

— Mam go, będzie order i awans — mówił —

wróci i spokój domowy, bo syna przed skończeniem powstania z mych rąk nie wypuszczę.

Liczył na to, że rząd agitacye syna płazem puści ze względu na gorliwość ojca. Postanowił trzymać Mieczysława w więzieniu, dopóki się losy Polski nie rozstrzygną.

— Mam go; nie będzie mi więcej życia zatruwał, a kiedy się wyleczy z ran, oprzytomnieje, bo szłał wiecznie trwać nie może. I tak jednym zamachem pozyskam względy rządu, awans, spokój domowy i syna.

Mierząc tak Polaka po swojemu, po niemiecku zacierał ręce z radości.

Chciał się właśnie zabrać do pracy, kiedy do kancelaryi żona weszła.

Burmistrzowa była dziś starsza o kilka lat. Drobna, przygarbiona postać zgięła się jeszcze więcej, włos rozrzucony spadał w nieładzie na błąd, schorzała jej twarz, ręce i usta drżały. Zbliżyła się do męża, który się zdziwił na widok takiej boleści.

— Człowieku! — przemówiła. — Ty możesz spokojnie między szpargałami siedzieć, kiedy ranny syn twój w więzieniu cierpi.

— Jemu tam dobrze — odparł mąż — lepiej, aniżeli w polskim obozie. Lekarz go opatrzył, ma miękkie łóżko, będzie miał opiekę i czegoż chcesz więcej? Wy Polacy wszystko przesadzacie.

Burmistrzowa opuściła głowę, mówiąc półgłosem:

— Prawda, prawda, dwa obce żywioły, dwa niedobre konie. Inny świat, inne serce, inna wiara, wszystko inne, więc zgoda niemożliwa. A ja tak długo z tym człowiekiem się męczyłam, wierząc, że miłość do dziecka przerobi wrogą naturę.

— Czego chcesz odemnie? — zawołał burmistrz podnosząc się z krzesła.

— Chcę, abyś mi wrócił syna.

— On dobrze schowany.

— Chcę, abyś mi wrócił syna, powtarzam.

— Aby wyzdrowiawszy, znów poleciał jak wariat na agitacye.

— Jak powinien każdy Polak.

— Więc i ty? Teraz pilniej strzedz go będę, a by czasem nie uleciał.

— Okrutniku!

— Mów co chcesz, ale ja będę robił swoje. Nie puszczę z rąk mych buntownika, nie wydam syna, nie wróce waryatowi wolności, bo szalałby, jak poprzednio.

Burmistrzowa postąpiła ku mężowi.

— Ty tego nie uczynisz! — zawołała.

— Właśnie, że uczynię — odparł burmistrz, cofając się.

— Jeśli mi nie wydasz syna, opuszczę cię natychmiast.

— Owszem, krzyż na drogę. W ostatnich tygodniach już nie raz przeklinałem chwilę, w której cię poznałem, bo za kilka miesięcy słodczy zatrąlas mi życie. Musiałem się odłączyć od mego ludu, musiałem żyć z Polakami, których teraz nienawidzę, bo są szaleńcami, musiałem spokojnie patrzeć jak mi jedyne go syna chowałas na niemcozercę. Ha, dość tego. Nie czułem się nigdy w swoim żywiole, byłem obcym przez długie lata we własnym domu, raziło mnie wszystko: zwyczaj, obyczaj, mowa nawet, głos mego dziecka, co teraz dopiero czuję, kiedy wróciłem do dawnych tradycji. Owszem, idź sobie, na koniec świata, za koniec, jeśli ci się tak

podoba, a odetchnę, odżyję. Gdyby nie ty, byłoby się życie moje najzupełniej inaczej ułożyło.

— Biada mi. Każdy krok nierozsądny mści się w życiu, choćby przed grobem. Biada mi, że poszłam za Niemca.

— A mnie biada, że wziętem Polkę.

— Zejdę ci z drogi.

— Nie rozgniewam się.

Burmistrzowa zachwiała się. Trzymając się ściany, wyszła z kancelaryi. I burmistrz stracił teraz odwagę. Człowiek słaby, bezwolny, utrzymywał sztuczną energię gniewem i nienawiścią. Ale gniew i nienawiść — to alkohol, który chwilowo nerwy rozdrażnia, aby je po krótkim czasie jeszcze więcej rozprządz.

Burmistrz zarył się w papierach. Służbowe zajęcia, do którego przywykł, jak wół do pługa, odwracało myśl jego w spokojniejsze strony.

Sponiewierana żona nie miała takiego zajęcia. Wróciła do swego pokoiku, usiadła w oknie, oparła ręce na kolanach, a głowę w dłoniach, nie odgarniając włosów, które się zwiesiły na czoło, na pierś. Łza, najlepszy środek, łagodzący bóle niewieście, zakrzepła w sercu. A łzy takie kłują tam w piersiach jak sztylety, rozdzierając łono i całego człowieka. Oko, jedyny kanał, którym odpływają wszelkie bóle kobiece, patrzyło szklisto, bez blasku na ziemię, jak gdyby je lodowata śmierć ścięła. Czasem mignął przez czoło ponury płomień, jak błyskawica przed burzą i drgnęły usta konwulsyjnie.

Trzykroć sponiewierana: jako Polka, jako matka i żona. Trzykroć! To za wiele na starą, chorą kobietę...

I nad jej kołyską schylała się matka, śpiewając pieśń o Poniatowskim, co utonął w Elsterze, o Ko-

ścisusze, który ma patrzeć na nas z nieba; i jej opowiadał ojciec o nadziejach z czasów napoleońskich, i ona była dzieckiem, dziewczyną polską. A! warjaci jest twój naród, — powiada mąż, praktyczny, chleb powszedni lubiący Niemiec — szalony jest ten lud polski, bo rzuca dobre stanowiska, aby gdzieś, wśród śnieżystych lasów zmarnieć za jakiś fantom, za jakieś głupstwo.

— Ojczyzno moja, zgrzeszyłam przeciw tobie, zgrzeszyłam ciężko, więc słusznie cierpię.

I z dala, z młodziuchnych lat zaleciała burmistrzową pieśń o naszej Wandzie, co to nie chciała Niemca, przenosząc uścisk żółtych wód Wisły.

— Zgrzeszyłam przeciw tobie, tradycjo polska, i dlatego słusznie cierpię. Wszystko, co mi święte, mąż nienawidzi. A Mieczek mój, Mieczek kochany... o...

Kilka godzin tak przepędzonych bywa czyścieniem, pokutą za błędy lat wielu. Straszne one, te godziny, jak widmo sumienia, które woła okropnie: słusznie cierpisz. Straszne one, jak samowiedza bezowocnie spędzonego życia, kiedy nadejdzie na progu mogiły, jak sen męczący, który zastępuje piekło na ziemi.

Przychodził służący po rozkazy do śniadania, do obiadu, do podwieczorku — pani nie słyszała. Już się na dworze zmierzchać zaczęło, kiedy podniosła głowę. Bolesny wyrzut na twarzy ustąpił jakiejś surowej woli.

— Straciłam męża, ale odzyskałam polską duszę — wyrzekła.

Służący przyszedł po raz czwarty.

— Jakaś pani prosi o wejście.

— Niech wejdzie.

Służący otworzył drzwi, wpuszczając Wandę.

Dziewczyna zbliżyła się do matki Mieczysława i uklękła przed nią.

— Jestem Wanda Brzezińska, syna twego pani siostra, przyjaciółka... ko...chan...ka...

Ostatnie słowo spłynęło z ust Wandy cichutko, jak liść z drzewa w dzień pogodny.

Matka uścisnęła głowę Wandy, mówiąc:

— Bądź błogosławiona, córko moja.

Kilka minut trwało milczenie, jak zawsze, kiedy się zejdzie dwoje ludzi, wspólną miłością złączonych. Potem wstała Wanda, i usiadłszy obok burmistrzowej, mówiła głosem innym, energicznym:

— Naczelnik Poraj jest w niewoli Prusaków, więc go trzeba oswobodzić. Nie o mnie tu chodzi, bo kochanka ustępuje dziś Polsce pierwszeństwa, ale o sprawę, która się bez sprężystego agitatora obyć się nie może. W kilku powiatach nie mamy ani jednego równie zdolnego patrioty.

— Trzeba go oswobodzić — odparła matka — ale dotąd nie widzę drogi.

— Dziś i jutro robić nic nie możemy, bo trudno przynieść chorego, ale skoro pierwsza febra minie, trzeba go wy dostać z więzienia.

— Może mi się uda przekupić Szulca.

— Słyszałam, że Szulcowa jest dobrą Polką.

— Rzeczywiście. Użyjemy tej kobiety.

— O resztę, o ludzi uzbrojonych, o powóz i odległy kącik, gdzie się naczelnik może leczyć, sama się wystaram. Chciałam tylko tyle powiedzieć, bo nie mam czasu. Stryj poszedł na wojnę, Mieczysław w więzieniu, a sprawa nie stoi. Trzeba ją w zastępstwie lepszych sił popierać.

— Dziękuję ci, córko kochana. Sądzę, że dwie kobiety, a do tego matka i kochanka, wiele sprawić mogą.

Wanda ucałowała ręce burmistrzowej i wróciła do powozu, który na nią w hotelu czekał.

Kiedy się to w ratuszu dzieje, leży Mieczysław w miejskim więzieniu, podwójną męczony gorączką. Polska jego dusza wspina się przeciw murom, które go rozdzielily od wspólnej sprawy. Chciałby głową jak taranem rozbić ściany, aby znów wrócić do pracy, ale strzaskana noga nie pozwala mu się ruszyć z łoża. Z trudem dźwiga się na posłaniu, zgrzyta zębami i znów na poduszki opada.

— Przekłęcie! Tam potrzebny jestem, tam się bezemnie obyc nie mogą, a ja tu leżeć muszę chorą kaleką, od słabego ciała zależnym.

Patrzy na mury — grube, na okna — kratami najeżone, na drzwi — żelazne i na dwa klucze zamknięte.

Z klątwą, którą gniew patrioty wyparł, zakrywa twarz, nie chcąc widzieć obywatelnictwa.

— Geniuszu Polski, wybaw mnie! Nie dla mnie, bo złożyłem osobiste pragnienia na ofiarnym ołtarzu ojczyzny, ale dla rodaków, którym jestem potrzebny. Spraw, abym na wolność wrócił.

Zmęczony straszliwym gniewem i upływem krwi zasnął.

Szule przyniósł śniadanie, obiad, wieczerzę, ale chory spał. Kapral przypatrywał się rannemu, filozofując po swojemu na temat: o nicości człowieka.

— Ehem, patrz. Wczoraj na koniku, dziś w kowie z roztrzaskaną nogą. Oj, Polaki, Polaki! Po łbach wam się roi, niby dzieciom. Czy to chleb pruski taki zły, że swojego pragniecie! Głupstwo; pomarańczówka wszędzie dobra, byleby jej żyd nie ochrzcił.

Stary potrząsł głową, brząknął kluczami i opuścił więzienie, zabierając ze sobą zimne potrawy.

Była już północ, kiedy drzwi więzienia jeszcze raz zaskrzypiały. Wszedł do niego burmistrz z latarnią w rękę. Wsunął głowę, podniósł latarnię, szukając okiem łożka. Światło padło długą smugą na celę i oświeciło śpiącego jeszcze Mieczysława. Leżał na białej pościeli, z głową z poduszek zsuniętą, ze smutnym uśmiechem na ustach.

Burmistrz popatrzył na syna, kiwnął głową i zamknął cichutko drzwi.

— Oto skutek szaleństwa, — mruzczał, stanąwszy nad śpiącym.

Chciał się rozgniewać, a nie mógł, chciał być złym, a coś szorstkiego schwyciło go za serce.

— Przecież to mój syn, — mówił — mimo wszystkiego, mój syn, którego wychowałem. Taki błady; musi być chory.

Urzędnika wyparł ojciec na drugi plan.

— Nieszczęsne Polaki! Dobry to naród, ale niepraktyczny, bo goni za marą, zamiast trzymać w rękę gotowy chleb. Dobrze się z nimi żyje, gdyż nie szcędzą serca i napitku, ale kiedy oszaleją głupim patriotyzmem, niema z nimi rady. Szkoda, że mój syn nie jest Niemcem. Miałbym z niego pociechę, bo jest rasa, jest.

Światło padające na twarz Mieczysława, przebudziło go. Otworzył oczy, ale zamknął je natychmiast, kiedy ujrzał ojca.

Burmistrz drgnął.

Nienawisć, uspiona widokiem chorego, wracała.

Przyszedłem, aby się z tobą po ojcowsku rozmówić — wyrzekł tonem urzędnika.

— Nie mam ojca — odparł Mieczysław słabo.

— Nie masz?

Burmistrz odstąpił na krok od łożka.

— Jeżeli mi dasz słowo honoru, że wrócisz natychmiast do Berlina, każę cię przenieść do prywatnego mieszkania.

— Takiego słowa honoru dać nie mogę, bo pośpieszę natychmiast do przerwanej pracy, skoro się tylko wolnym ujrzę — odpowiedział Mieczysław.

— Szaleńcze, miej rozum.

— Jestem Polakiem.

— Leżysz, jak Łazarz niemocny, a jutro, gdybyś wrócił do agitacji, mogą ci obiedwie nogi ustrzelić. Czyż nie lepiej siedzieć w ciepłym pokoju na aksamitnej kanapie, niż włóczyć się po lasach i karczmach!

— Jestem Polakiem.

— Straciłeś rozum, czy co? Powtarzasz jak papuga, nudny frazes, z którego się rozumni ludzie śmieją.

— Jestem Polakiem — odparł Mieczysław po raz trzeci. — Czy rozumnie postępuję, albo też inaczej, nie może Niemiec osądzić. Zreszta panie burmistrzu, rozum w anormalnych położeniach narodów nie popłaca. Szczypta zapału, odrobina fanatycznej nienawiści do ciemnych, którzy nam niebawem polskiego powietrza odmówią, więcej waży nad całe centnary waszego praktyczno - niemieckiego rozumu. Siedźcie sobie na aksamitnych kanapach jedzcie ostrygi i afrykańskie mrówki, jeśli tak wolicie; co do mnie, przenoszę szubienicę w sprawie polskiej nad wstęgi orderowe w służbie waszej. — Proszę mnie zostawić losowi, proszę mnie nie męczyć, bo zdrow nie jestem.

Odwrócił się twarzą do ściany, zaciągając kołdrę aż na głowę.

Burmistrz słuchał słów syna z rozwartymi szeroko oczami, z ogłupiałą twarzą. Tak słucha się

człowieka, którego ma się za waryata lub półgłowa. Że burmistrz miał syna za szaleńca, nic dziwnego. Wszelkie słowo gorętsze, niepowszednie, wszelka myśl rozłożystsza, niesamolubna, kiedy staje przed pospolitem życiem i gawiedzią codzienną, wydaje się przesadą, szaleństwem. Wygłoszona w teatrze, w książce wyczytana, z mównicy spadająca, oddziaływa korzystnie, ale na ustach syna, brata, kolegi w powszednich stosunkach zawisła... nudzi albo rozśmiesza. Będzie to powodem, dla czego ludzie genialnych w młodości, dopóki nie mieli czasu do przeniknięcia i zbadania zwyczajnej maszyneryi życia, za głupców, „postrzelonych“ uważają, bo nie wiedząc jeszcze, iż ludzie zapałami nie żyją, przemawiają zwykle odświętnym językiem swych dzieł, albo planów.

— Ogłupiał, oszalał — mówił burmistrz. — Więc leż w kozie, a zobaczymy, czy kilkumiesięczne więzienie zapału twego nie ostudzi.

DAR
RADY POLONII
AMERYKAŃSKIEJ

VIII.

Burmistrzowa wyprowadziła się rzeczywiście od męża. W chwili, kiedy opuszczała dom człowieka, który bezcześcił wszystko, co Polsce musiało być świętością, który rodzzonego syna więził z gorliwości i bojaźni urzędniczej, nie mogła pojąć, jakim sposobem przez lat tyle wytrwała. Przyzwyczajenie może wiele, potrzeba jeszcze więcej, konieczność odbiera i zbrodni właściwe znaczenie. Ale w życiu każdego człowieka nadejdzie czas, w którym błysnie pamięć młodości... jej marzeń, nadziei, jej celów a wówczas zawoła wspomnienie jak trąba archanioła: gdzież podział tradycje i kochania, które włożyłam w kołyskę twoją? O, młodości kochania są tak piękne, a rosną w olbrzymów, kiedy wrócą do starego serca. Daremnie, daremnie! Nad grobem stoisz, włos twój posiwiął, serce już się ścina, usta i ręce drżą, a język się płacze. Daremnie, bo nie możesz już służyć... niedołęgo stary! Trzeba było użyć młodości. Ale ty wolałeś pewność codziennego chleba...

— Zawiniłam — mówiła burmistrzowa, zbierając ze łzami swoje rzeczy — zgrzeszyłam.

Oj, zgrzeszyłaś! Urodziłaś się córką narodu, który jest tak nieszczęśliwy, że nawet dziki zwierzonąłby nad nim łzy, gdyby umiał płakać. Ale Niemiec nie płacze nad Polską, Niemiec bogaci się na jej grobie, pije piwo, tańczy, Niemiec krzyknie: hurra! kiedy ujrzy ostatnie jej drgnienie. A ty sprzeda-

łaś się Niemcowi za dostatek cielesnego życia. Urodziłaś się kapłanką, matką i nauczycielką przyszłych mścicieli, a... tu... synowi jedynemu zatrzymałaś życie, robiąc go włóczęgą bez domu, sierotą bez ojca. Oj, zgrzeszyłaś.

Naprzeciw więzienia najęła burmistrzowa małeńką izdebkę. Z okna widziała kraty więzienne, może i syna ujrzy, do którego jej mąż nie chciał przypuścić.

Z chorobliwą gorliwością, zwykłą u ludzi, którzy chcą dogonić, czego zaniedbali, wzięła się do agitacji narodowej. Namawiała rzemieślników do przejścia granicy, dawała ostatni grosz na broń dla powstańców, skubała z szeregiem mieszczek szarpie dla rannych.

Burmistrz zdziwił się, kiedy wróciwszy z miasta, od służącego posłyszał, że pani dom jego opuściła.

— Ha, przekłete plemie, musiało tak przyjść, — wrzasnął, zacinając zęby.

Nienawiść w nim zawrzała; postanowił się mścić za krzywdy swoje. I mścił się. Stał się wyżłem na całą okolicę, zaciętym wrogiem polskiej sprawy. Minął tydzień, uchodził i drugi. Burmistrz prosił o komendę wojskową, bo siły jednego człowieka nie starczyły na powiat. Komenda jeszcze nie nadeszła, ale miała dziś, jutro do Tobolna przybyć.

Nowy strach padł na burmistrzową, bo wiedziała, że oswobodzenie syna stanie się niemożliwym gdy wojsko pruskie przybędzie.

Ale jak, ale jak? Gdyby mogła staremi rękami przedrapać mury, uczyniłaby, gdyby mogła, więzienie rozbiłaby w proch.

Kiedy matkę kłopot z bojaźnią obezwładniał, zjawiała się znów Wanda.

— Matko, — rzekła dziewczyna, wchodząc do izdebki burmistrzowej — teraz czas. Jutro, kiedy przyjdą żołnierze, byłoby może za późno.

— Nie widzę jeszcze drogi — odparła matka, załamując ręce.

— Ale ja widzę i to pewną.

— Mów, dziecię kochane, mów, śpiesznie.

Wanda zdjęła futro i usiadłszy obok burmistrzowej, mówiła poważnie:

— Jutro wieczorem przyjadę z powozem, który stanie za cmentarzem w pobliżu więzienia. Czterech powstańców, bawiących w Brzezinach, przywiozę z sobą, a w mieście rozstawię na straży kilku rzemieślników, naszej sprawie chętnych.

— A więzienie? — pochwyliła matka.

— Ctworzy nam Szulcowa, której mąż ma klucze od niego.

— Chciałabym uwierzyć, ale nie mogę.

— Uspokój się pani, bo stanie się wszystko, jak mówię, chyba... nie, żadnego chyba, musi się udać. Szulcowa upoi męża, albo uśpi, jak mi obiecała, a tworzy nam bramy, my wpadamy, bierzemy naczelnika i marsz, marsz do lasów.

Gdyby nam kto chciał przeszkodzić, powącha prochu, bo nie byłoby innej rady. Naczelnik potrzebny w powiecie tysiącom, a życie lub zdrowie jednego żandarma pruskiego nie wiele dziś waży.

Matka ogarniała dziewczynę wzrokiem zdziwionego upokorzenia.

— Bohaterka! — szepnęła.

— Tylko Polka — wyrzekła Wanda, podnosząc się. Przyszłam do pani z tem orędziem, abyś się smucić przestała. Jeśli chcesz, możesz się jutro ze synem zobaczyć.

— Pojadę z nim — zawołała matka.

— Nie wolno. Burmistrz mógłby łatwiej odnaleźć ślad Mieczysława, a choćby i nie to, możesz się pani w mieście bardzo przydać. Polka poświęca własne pragnienia dla sprawy. Jeśli sobie kochanka odmawia dla Polski słodyczy pierwszej miłości, może się i matka na czas niebezpieczeństwa krajowego wyrzec pieśszcot syna. A gdyby...

— Uczynię, jak każesz; — wtrąciła matka, pochylając głowę pokornie — zostanę w mieście na posterunku.

Po chwili unosił powóz bohaterską dziewczynę.

Na drugi dzień odbywała się w mieszkaniu Szulea zabawna scena.

Kapral mieszkał w więzieniu, którego był dozorcą i stróżem. Nie było to obronne zamczysko, otoczone rowami, murami, ale po prostu piętrowy dom, obwiedziony wysokim płotem. Choć się Tobolno powiatowem miastem nazywało, nie było tu jednak ani sądów, ani koszar, ani innych władz powiatowych, które umieszczono w sąsiednim, daleko większem miasteczku. Ponieważ większą część przestępców tam dotąd odsyłano, a i okolica Tobolna nie wielką liczbą winowajców poszczycić się mogła, przeto nie wystawiono rzeczywistego więzienia.

Na piętrze były cele dla złodziejów i przestępców innych, na dole kuchnie, pralnie, mieszkania dla służby podrzędniejszej i dwa pokoiki dla pana kaprała, który tu samowładnie panował. On zamykał i otwierał cele więzienia z należytą powagą reprezentanta sprawiedliwości, on rozdawał pokarm w drewnianych skopkach i posiadał wszystkie klucze. Kto się chciał do więzienia dostać, musiał się u pana kaprała opowiadać.

Pani Szulcowa, Polka, córka szewca z Tobolna, silna i krzykliwa kobieta, trzymała mężula w ry-

gorze. Do niej to odniosła się Wanda ze znaną prośbą.

Szulcowa była Polką. Dwóch jej braci poszło za granicę na wojenkę, ojciec, stary Okuniewicz, prowadził kompanie i procesy za miasto, śpiewając głośno „Boże coś Polskę“; nie dziw, że ją zabolął los naczelnika wojennego. Szulcowa wypiastowała Mieczka razem z burmistrzową; drugi powód, dla czego bez wahania na plany Wandy przystała.

— Ale w jaki sposób? — pytała się w nocy. Hm, jest na to rada, będzie trzeba Szulca spoić, uśpić i wziąć mu klucze. Co się potem stanie, niech się stanie. Wielka rzecz; przecież mi głowy nie urwą, a cóż panicz wyjdzie z kozy, to wyjdzie.

Tedy już od rana zaczęła burczeć, wiedząc, że sobie Szulc po każdej burzy od frasunku mózgownicę zalewał.

Szulc leżał jeszcze w łóżku, kiedy pani żona stołkami w kuchni ruszać zaczęła, a tak głośno, aby się mąż zniecierpliwił. W kończatej czapce, w tak zwanej „szlafmicy“ na głowie, z zaspanemi oczami, z wytkniętym koniuszkiem miedzianego nosa wyglądał Szulc bardzo pociesznie.

Kiedy żona w kuchni stukać zaczęła, skurczył się nieborak, zaciągając pierzynę na ucho.

— Au — mruczał — będzie burza, bo grzmot się już rozlega. Widocznie jejmość lewą nogą naprzód z łóżka się wygramoliła.

Pani weszła właśnie do sypialni.

— A widzicie go lenia, jeszcze w łóżeczku niby jaśnie wielmożny, a nie łaska się podnieść, co, nie łaska; gotów się do jutra wylegać — zaczęła.

Mąż udawał, że nie słyszy.

— Pewno myślisz, że ja od dziś albo co, że udajesz śpiącego. Ino mi wstawaj, a zaraz, bo jak

cię odyngusuję, to się zerwiesz na równe nogi, a będziesz zmykał niby jeleń.

— Eh... co tam, au, cóż znowu? — mruknął kapral, przeciągając się, jakby się dopiero budził.

— Już dziewiąta godzina, a ty jeszcze śpisz? Chcesz dyngusu?

Szulcowa zmierzała do kuchni.

— Rety, Marya, ja już wyłażę. Skaranie boskie z taką babą, co człowiekowi już w łóżku nad łbem terkocze. Ani się wyspać, ani najeść, ani napić, bo zawsze tur, tur, bur, bur, bur, od rana do wieczora, laboga.

Mówiąc tak pod nosem, wciągał kapral buty, bo zerwał się rzeczywiście na równe nogi.

— Będziesz ty mi zaraz cicho! Patrzenie go; pewnoś sobie znów wczoraj na odwagę pałkę zalał, bo czuć od ciebie wódczyisko na dwie mile.

— Gdyby nie ta wódka, byłbym już dawno przy tobie zwaryował — odpierał kapral i wkładał mundur, śpiesząc się z ubraniem, aby się czempredzej z domu wydostać.

— Wierzę, ja ci, wierzę. Codziennie łązić do knajpy na piwo, na likierki, oj, to się panu podoba.

— Albo co? — fuknął kapral śmielej, mając już cały mundur na grzbiecie. Czy to grzech pobawić się z kolegami? Czy to jakim szewczyzną lichy, abym cały dzień na stołku śleczął? Jestem królewsko-pruski urzędnik.

Podniósł się na palcach.

— Jesteś królewsko-pruski morzygłód, wiesz, królewski morzygłód jesteś — prawiała pani. Gdyby nie mój ojciec, co go to lichym szewczyzną nazywasz zdechłbyś już dawno na tym chlebie królewskim, ty...

— Ssst, ruhig, Hochverrath, ściany mają uszy
— syczał kapral, oglądając się na wszystkie strony.
— Niech ciebie też...

— Co mi tam do twojego urzędu! Robię sobie
z niego tyle, co ze śliny; tfu.

— Herr Jezus!

Kapral szukał pałasza i czapki, bo go ciarki
przechodziły na takie bluźnierstwo żony.

— Herr Jezus, Herr Jezus, haste ihn, laboga,
jaki mi urzędnik, który nie ma co w gębę włożyć.
Jeśli twój król nie umie lepiej o swych fagasach pa-
miętać, niech...

Kapral zatykał uszy, przypinając pałasz.

— Nie chcę nic słyszeć. Zbrodnia, Verrath, o
jej, oszalała.

— Niech go tam wszyscy... nacierała pani.

— Moja czapka, moja czapka, bo musiałbym
sam siebie aresztować w imieniu króla, gdybym da-
lej słuchał.

Porwał czapkę, pogroził żonie, i wybiegł jak
kula. A pani ujęła się pod boki, i śmiała serdecznie.

— Oj, zagrzałam mu czuprynę. Ano, zaleje
frasunek niby na weselu.

Śmiejąc się, poszła do pracy.

Koło południa nadszedł ojciec Szulcowej, sta-
ry Okuniewicz. Niósł coś pod płaszczem i, oglądał
się ciekawie, kiedy wchodził do córki.

— A co, poszedł? — rzekł.

— A jakże. Poszedł na wódeczkę. Usiądźcie
ojcze.

— Byle się upił, jak bela, bo jak mniej, to się
nam sprawa nie uda. Przyniosłem ci kwartę poma-
rańczówki, na którą się Szulc trzęsie. Ino ją zoba-
czy, już ci się przypnie, i wysączy do ostatniej kro-
pli.

Stary usiadł, wydobyl butelkę pomarańczówki,
i przypatrzył się wódecce pod słońce.

— Aż mnie samego oskoma bierze, ale nie ru-
szę, bo to dla dobra naczelnika. A gdyby jednak
nie? — rzekł, podnosząc głowę do córki.

— Wiem ci ja, że tego opoja nie łatwo powalić.
Mam krople, na śpik, które go znużą.

— Byle nie szkodziły.

— Et, gdzież tam. Urznie śpika, będzie chrapał,
a my tymczasem panicza wyniesiemy.

— Jakże tam naczelnikowi?

— Już lepszy, ojczy; już wstaje i siedzi w krze-
śle, ale chodzić nie może. Panna z Brzezin mówiła,
że przyszłe kilku powstańców, którzy go wyniosą
w jakimś tam łóżku, co się lektyką nazywa.

— To dzielna pannica — mówił stary.

— Juźcić, że dzielna. A bo to my wszystkie nie
dzielne, my Polki, kiedy chodzi o ojczyznę!

— A jednak...

Stary nie dokończył.

— A jednak uparłam się wyjść za Niemca —
wyrzekła Szulcowa. Czy tak?

— A tak, Kasiu! Prawdą a Bogiem, nie podo-
bało mi się to nigdy, ale z tobą nie było wówczas
rady.

— Ba, tak się to mówi, tatusiu — mówiła cór-
ka, posmutniawszy. Byłoc nas tam ośmioro w do-
mu, a do pracy tylko dwie ręce. Człowiek byłby i za
hycła poszedł, byle ojcom ulżyć.

Z naszych nikt się nie zgłosił, bo wiana nie by-
ło, a lata szły niby dni weselne, tak prędko, tak
prędko. Gdybym była jednak wówczas wiedziała,—
jak to trudno do obcej nacyi się przyzwyczaić, by-
łabym wołała zostać starą panną. Wierzcie mi, oj-

cze. Nieraz mi się starka przypomniała, kiedy się trzeba było nasłuchać, jak żandarmiska ze Szulcem na polskie świętości plwali. Ej, bieda.

— Tylko mi się nie smuć, Kasiu, — rzekł ojciec. Nie czas do płaczów. Trzeba naprawić, co się złego zrobiło. Pamiętaj, abyś pomogła do oswobodzenia naczelnika, a Bóg przebaczy ci winę młodości.

Stary podniósł się i zabierał do wyjścia.

— Naczelnik będzie wolny — rzekła córka z zapałem — zanim gwiazdy na niebie rozbłyszczą, a ja usnę po wielu latach po raz pierwszy szczęśliwa, i zadowolona. Niech żyje Polska!

— Oj, niech żyje! — wtórował ojciec.

Zwyczajni ci ludzie wyprostowali się, jak konie wojskowe, kiedy usłyszą trąbkę; oczy ich rozbłysły duszy światłem, a twarze zapłonęły ogniem natchnienia. I najprostsy człowiek może bohatercko wyglądać, gdy go myśl niesamolubna dzwignie.

Kiedy ojciec opuścił więzienie, złożyła córka ręce, modląc się za pomyślność przedsięwzięcia. Potem nalała kilka kropli opium do wódki i nakrywała stół do obiadu.

— Hi, ho, uf af! — wołał ktoś za oknem.

Szulcowa wyjrzała na dziedziniec.

— Jak bela, jak bomba, udało się — wołała, klaskając w dłonie. Calutki czerwony niby jabłuszko, a rękami wiwija, a wąsem rusza.

Do pokoju wszedł kapral butnie, z miną zaważyki. Czapka, na bakier, głowa w górę, nogi proste jak z drzewa, wąs podkręcony, powiedziały Szulcowej, że pan kapral nad miarę wypił.

— Masz tam jaką przekąskę? — zapytał ostro, bo wódka robiła go odważnym.

— Gdzieżeś to znów chodził, — ty opoju? — fuknęła żona.

— A tobie co do tego! Czy ja to nie mąż, nie pan domu. Ino nie zaczynaj dziś ze mną.

— Niby ja się ciebie kiedy bałam — mówiła żona, zastawiając stół talerzami.

Kapral jadł chciwie kapustę, bo mu plażyła, przyciskając gazy, bijące z żołądka do głowy.

— Żebyś to tak miała marynowanego śledzia, ej, smakowałby dziś, bo mnie coś okrutnie zmorzyło — mruczał kapral, sięgając po mięso.

— A coby, jeśli nie ta przeklęta opara. Jeszcze ci się kiedyś w żołądku zapali, zobaczysz.

— Prawisz, jak gdybyś się na wódce znała, a przecież mówiłem ci tyle razy, że u kobiet długie włosy, a krótki rozum. Tak, krótki rozum.

— Położyłbyś się lepiej do łóżka, zamiast bredzić.

Kapral skończył biesiadę i otarszy wąsiska obrusem wstał z krzesła.

— A służba? Spać nie wolno, kiedy służba czujność nakazuje. Ej, Kasiu, nie męczylałabyś mnie tak, gdybyś wiedziała, że właśnie pracuję, aby z ciebie wielką panią zrobić. Niechno się skończy ruchawka, a zobaczysz, jaki order dostanę. Będzie świecił, jak poranna gwiazda na odświętnym mundurze. Ho, ho, będziesz wielką panią.

— Ja tam sobie z twego orderu nic nie robię. Możesz go i psu na ogonie zawiesić, jeśli łaska lub ochota. Co mi tam po błaszce.

Kapral, który się przechadzał po izdebce, zwrócił się szybko na korku do żony.

— Kasiu! — fuknął. — Nie bluźnij przeciw orderom, bo...

— Stuliłbyś gębę — przerwała żona, zbierając

talerze — bo mnie i tak nie przekonasz. Ot, połóż się lepiej do łóżka.

Zabrała talerze i wyszła do kuchni.

Kapral chodził po izdebce i mruczał, sapiąc:

— Masz ci roraty. Wzięło się Polkę, aby na stare lata młodego głupstwa żałować.

Przechodząc koło okna, podniósł głowę.

— Co to?

Na oknie stała butelka z etykietą pomarańczowych wódek. Kapral obejrzał się na kuchnię, czy nie widać pani żony, a kiedy się przekonał, że drzwi zamknięte, skradał się na palcach do wódeczki. — Schwycił butelkę, wyjął korek, powąchał — aż mu się oczy zaświeciły — przyłożył do ust i ssał.

— Ach, jaka to rozkosz — rzekł, przyciskając flaszkę do serca.

Kiedy drugi raz usta odjął, nie było już kropli. Właśnie wróciła żona z kuchni.

— Jezus Marya. Co dopiero ojciec przynieśli butelkę z kroplami, abym miała co na boleści żołądka, a ten opój wywąchał. Bo jakbym, ty...

Uderzyła go płaską dłonią w plecy, aż się kapral potoczył. Fłaszka wypadła mu z ręki, rozbijając się w setne odłamy, a kapral śmiał się głupowato, jak pijak, który nareszcie przebrał miarę.

— He... he... doskonała pomarańczówka, dobry tatusz, danke, znakomity — bełkotał łamanym językiem, co czynił zawsze, kiedy się porządnie upił, albo z urzędu przemawiał. Tylko ze strachu przed żoną mówił dobrze po polsku, kalając język rozmyślnie, ilekroć był odważny.

Śmiejąc się, padł na sofkę.

— Ty głupia Kasza, ty nie wiesz, jaki ze mnie wielki człowiek. Będę miał einen Orden fuer Verdienst, ty głupia Kasza — ty — nie wiesz — ja — du — wei...s...st... nichts.

Machał rękami, podnosił się, otwierał oczy, chrząkał, mruczał, aż zasnął, chrapiąc głośno.

Tymczasem nadszedł wieczór.

Kilku młodszych rzemieślników chodziło po rynku, inni patrolowali po ulicach. Starzy siedzieli w karczmach, pojąc żandarmów, z którymi się dziś pobratali.

Całe miasto wiedziało o dzisiejszym spisku! Wiedzieli wszyscy oprócz władzy pruskiej. Patryotyzm zamknął usta nawet mieszczkom, a dzieciom w noc jedną dojrzeć kazał. Z bijącym sercem czekali rzemieślnicy na wieczoru zasłony, pod którymi miał naczelnik wyjść z więzienia.

Wtem zatętniały kopyta końskie. Czterokonny powóz, otoczony kilkoma jeźdźcami, pomiędzy którymi widać było na koniu niewieścią suknię, przegalopował przez rynek, zdążając w stronę więzienia. (Był to umówiony znak. Na odgłos tego turkotu dolewali starcy żandarmom wódki w karczmach, dzieci pokryły się za matczyne fartuchy, a młodzież na ulicach podwoiła czujność.

— Teraz! — szepnęło każde polskie serce.

Szulcowa stała już od dawna na progu więzienia z kluczami w rękę, niecierpliwa, bo mąż rozmawiał we śnie. Pomocniczą służbę rozesłała po mieście, iż nie było nikogo w całym domu, oprócz śpiącego męża, czuwającej żony i czekającego Mieczysława, który o wszystkim przez Szulcową wiedział.

Nareszcie...

Do więzienia zbliżyło się czterech ludzi.

— Czy wszystko w porządku? — zapytał jeden z powstańców.

— W porządku, proszę za mną — odpowiedziała Szulcowa.

Jeden z powstańców trzymał nabity rewolwer w rękę na wszelki przypadek, bo wysłańcy mieli rozkaz: nie wrócić bez więźnia, choćby drogę krwią znaczyć wypadło.

W celi stał Mieczysław przy oknie, gotów do podróży, bo ubrany od stóp do głowy. Kiedy drzwi skrzypnęły, odwrócił się.

— Swoi? — zapytał, nie mogąc przeniknąć ciemności.

— Swoi — odparła Szulcowa i podniosła latarnię. — Panowie, śpieszcie się.

— Bierzcie mnie, panowie, bo nie mogę się jeszcze ruszać — rzekł Mieczysław.

Usadowiono go w lektyce, wzięto na ramiona — drzwi więzienia zapadły, jedno i drugie, furtka płotu skrzypnęła i... Mieczysław był wolny.

Szła szybko po wschodach, przez kurytarze, nasłuchując, czy się co w mieszkaniu nie rusza.

O kilkadziesiąt kroków od więzienia stał powóz brzeziński, wewnątrz poduszkami wysłany. Czekala tu Wanda na koniu i matka oswobodzonego.

— Czy wszystko w porządku? — zapytała, kiedy się powstańcy z lektyką zbliżyli.

— Wszystko, pani.

— Bóg wam zapłać! — rzekła Wanda z głębi wdzięcznego serca.

Poświecili latarnią do lektyki. Mieczysław był błądy i nieruchomy.

— Zemlał wskutek wstrząśnienia, gdyż biegliśmy szybko — rzekł jeden z tragarzy.

— Przebudzi się w powozie — szepnęła Wanda.

Matka ucałowała twarz syna, a kochanka uściśnęła dłoń obwisłą, kiedy chorego w powozie usadowiono.

— Do widzenia — mówiła kochanka z cicha.

Dobrze przeczuwałaś, bywaj zdrowy. Panowie, do chojnowskich lasów naczelnika zawieziecie — do dała głośno.

— Jak każesz, pani — odpowiedziano.

W tej chwili ruszył powóz, a z miasta doleciał okrzyk:

— Niech żyje naczelnik Poraj!

Mieczysław był wolny.

IX.

Uciekł?... Uciekł!...

Dwa te słowa, treścią te same, ale akcentem nie, bo wygłoszone jako odpowiedź i pytanie, były nazajutrz całą mową Tobolna.

Uciekł?... Uciekł!...

Całe miasto podzieliło się na dwa obozy, z których jeden wykrzykiwał drugie „uciekł“ radośnie, podrzucając czapkami, śmiejąc się głośno, drugi szeptał je z bojaźnią i z głupowatym wyrazem na twarzy. Rzemieślnicy cieszyli się; urzędnicy pospuszczali nosy na kwintę.

A kapral! On biedak, kiedy się przebudził późno nocą, usłyszał od posługacza, że pan dr. Frankenberg znikł z więzienia, zbladł, potoczył się, prawie zemdlał. Wziąwszy latarnię pobiegł na piętro, gdzie były cele więzienne. Prawda! Drzwi na rozcięż otwarte, łóżko próżne, ani znaku po więźniu. Herr Jezuss! Toć klucze, które pani Szulcowa po dokonanym czynie na zwykłym miejscu położyła, wisiały nieruszone, toć furtka była zamknięta i wszystko, wszystko w porządku. Obiegł wszystkie kąty, przeplądował dziedziniec, ogród, ale w żadnym miejscu jak nie było tak nie było.

Wrócił do izdebki złamany i usiadłszy na stołku, naprzeciw łóżka żony, stękał, jakby go wielka choroba podrzucała.

— Alles vorbei, alles.

Wszystkie marzenia minęły, jak pamięć pomańcówki, która parą uszła: order, awans, nadkapralstwo, większa pensya... wsio dyabli wzięli.

Kapral stękał, a pani, która udawała, że śpi, dusiła się ze śmiechu. Jakoś kapral ten tajony śmiech posłyszał, bo zerwał się nagle i stanął przed łóżem swej żony.

— Kasiu!

Kasia nie odpowiadała.

— Kasiu, zmiłuj się! — powtórzył płaczkliwym głosem.

— Hm, co? — mruzczała żona, przecierając niby oczy.

— Młody Frankenberg uciekł.

— Uciekł! A niech mu tam Pan Bóg poszczęści, bo to kochane chłopczysko.

— Dyc, że złym chłopcem nie był, ta i kminkówką człeka poczęstował i za rękę ścisnął niby równy, choć taki pan, ale zawsze zdrajca stanu.

— Głupis — odparła pani, podnosząc się na łóżku — co ty tam o takich rzeczach będziesz gadał.

— A ba, kiedy pan burmistrz powiada, że młody Frankenberg jest zdrajcą stanu, a co...

— A co burmistrz powie, to ty zaraz wierzysz — wtrąciła żona. Jak burmistrz powie: hoc do studni! pan kapral hoc. Oglądałbyś się, stary.

— Nibyc to znów...

— Nie bredziłbyś. Puknij się w głupią mawkówkę i spytaj się, czy pan Mieczysław może jako Polak inaczej postępować.

— Wszystko to prawda, ale ty mi nie pomożesz, kiedy mnie jak psa z urzędu wypędzą.

— Albo co? Czy ja to nie mam rąk i zdrowych kości? Mogę prac, szyć, gotować dla ludzi i zawsze

tyłe zarobię, ile ci ten twój królewski urząd przynosi.

— A pomarańczówka, he?

— I pomarańczówka będzie, tylko się połóż do łóżka, bo mi się oczy kleją.

— Herr Jezus! Jaki to Donnerwetter jutro u pana kapitana będzie. Gott sei mir armem Suender gnaedig — mruzczał kapral, rozbierając się do snu.

Wódka jeszcze nie wyszumiała, bo zaledwie się położył, już i zasnął.

Na drugi dzień był rzeczywiście „Donnerwetter“ u pana kapitana. Już z rana dowiedział się burmistrz o wszystkim od lokaja. Jak dziki zwierz puszczy, w klatce zamknięty, biegał po kancelaryi, rozbijając po drodze krzesła, akta, kałamarze i wszystko, co mu się tylko pod rękę nawinęło. Gniew, wstyd, nienawiść, bojaźń zawiedzione nadzieje złożyły się na ten wybuch niezwyklej u burmistrza namiętności. W rejencyi powiedzą, że on sam buntownika - syna wypuścił, i precz poszły nadzieje wszystkie. Wypędzą go ze służby, może mu proces dyscyplinarny wytoczą, hańbą starca obrzucą — a wszystko dla tego, że się z Polką ożenił.

— Przekłete Polaki! Szatan mnie natchnął, a bym wszedł między ten nienawistny naród.

Tak wołając, biegał po biurze i szarpał ubranie na sobie. Bo też położenie jego nie było szczęśliwe. Stracił żonę, syna, powagę w mieście, zaufanie u władzy, słowem wszystko, dla czego żył pracując. Wszystko odrazu — a nie oszalał? Tylko silne duchy łamią się nagle, zewsząd równocześnie atakowane, a słabe lamentują, płaczą, wijąc się kornie po ziemi.

W takim usposobieniu był burmistrz, kiedy Szulc nadszedł.

Kapral przycisnął się do ściany. Z dwóch powodów błądy, bo skutkiem wczorajszej wódki i dzisiejszego strachu, przewyższał białość ściany, do której się przyparł.

— Szulc! Gdzie jest mój syn, nie, ten awanturniczy agitator, gdzie on jest? — wołał burmistrz, chwytając kaprala za kołnierz.

— Panie ka... pi... ta... nie — bełkotał kapral, bo mu język zaniemógł.

— Gdzie jest? — huknął pan, i unióś kaprala o stopę od ziemi, trzęsąc nim, jak starą szmatą.

— By... by... był w ko... o... o... zie...

— Ale go niema.

— U... u... uciekł. Herr Jezus! Panie kapitanie, bo się uduszę.

Burmistrz puścił go na ziemię.

— Szulc! — rzekł nagle płacziwym, cichym głosem. — Gdzie poszły nadzieje?

— Śliczny order.

— Większa pensya.

— Awans.

— Tytuł.

— Gdzie to wszystko poszło?

— Szulc.

— Panie kapitanie!

Burmistrz załamał rękę, kapral zwiesił „głupią makówkę“ i lkał. Stali obaj jak zmokłe koty na dachu chaty w której wonią pieczenie. Wszystko poszło wszystko...

— Nie domyślasz się, gdzie się mógł podziać, kto go oswobodził? — zapytał burmistrz po chwili.

Kapral wzdrygnął ramionami.

Znów milezenie.

— A może żona, tfu, ta waryatka, co skubie szarpie dla powstańców. Nie słyszałeś tam co w mieście?

— Nie słyszałem nic bo te łyki uważają nas za obcych, więc stulili gębę, że ani sposób co wydostać.

— Jesteśmy rzeczywiście obcymi między tą hotołą — mruknął burmistrz. — Zrobiliśmy głupstwo, mości Szule.

— Ja, ja, Herr Hauptmann, grossen Unsinn...
Po raz trzeci zamilkli.

— Pani burmistrzowa — zaczął Szule.

— Nie jest panią burmistrzową — przerwał kapitan.

— Pani Frankenberg...

— Głupiś!

— Pani Poraj...

— Tak, pani, panna Poraj.

— Panna Poraj szła dziś do kościoła, więc jest teraz w mieście.

— Słuchaj, Szule — rzekł teraz burmistrz zwykłym tonem urzędnika — zblamowaliśmy się o kropnie, powiadam ci, niezmiernie. Błąd trzeba naprawić, a to w ten sposób, że musimy ponownie agitatora Poraja złowić. Za granicę ująć nie mógł, bo nie wyleczony jeszcze z ran, na agitację także nie, więc leży gdzie w ukryciu. Warto śledzić panią, pannę — poprawił się szybko — Poraj, bo prawdopodobnie stoi za swym synalkiem w związku. Polecam ci tę kobietę, a może jakoś będzie.

Kapral salutował wojskowo i wyniósł się czempredziej z kancelaryi, szczęśliwy, że się sprawa tak skończyła.

Powóz wiozący Mieczysława, spieszył do nadgranicznych lasów Chejnowa, które były własnością Brzezińskich. Lasy ciągnęły się ćwierć mili nad granicą królestwa, rozwidnione tu i ówdzie szerokimi szlaki, które pułkownik na budowie wyciął. Tuż, nad granicą, niewielkim rowem od postronnego kra-

ju odcięty, leżał w gęstwinie dębów i sosien, płotkiem otoczony, śniegiem zasuty maleńki domek borowego, w którym przeznaczono kwatery rannego naczelnika. Tak postanowiła Wanda. Chatka skryła się tak w ustroniu, że dzisiejszy borowy, choć człek stary, nie pamiętał, aby kiedyś o jego próg niemiecki mundur zawadził. A gdyby i zwietrzono, gdzie leże agitatora? było łatwą rzeczą stąd naczelnika za granicę przenieść.

Mieczysław zemdlął rzeczywiście z powodu gwałtownego wstrząśnienia, bo tragarze spieszyli, chęcią oswobodzenia i bojaźnią pędzeni. Trzech powstańców dosiadło koni, czwarty — młody lekarz — zajął w powozie miejsce obok chorego, a kiedy powóz ruszył, spieszyła Wanda inną drogą do Brzezin.

— Nawet mnie promieniem swego oka nie oświecił — mówiła cichutko, rozcierając łzę. Jeśli Bóg miłościwy patrzy na nasze cierpienia, jeśli się opiekuje naszymi żałami, wynagrodzi nam po...

— Ot, lepiej nie marzyć — przerwała sobie i świsnąwszy batem nad głową konia galopowała z wiatrem ku Brzezinom.

I burmistrzowa płakała. Ale od czasu, kiedy się ukorzyła przed potęgą patryotycznej dziewczyny, stanęła na straży serca, którego życzenia poddała rozkazowi obowiązków.

— Niech szybko wyzdrowieje, aby mógł wrócić do służby krajowej — wyrzekła, żądając ku miastu.

Po dwugodzinnej podróży stanęli powstańcy przed domkiem borowego. Staruszek, ongi lokaj pułkownika, o wszystkim uprzedzony, stał na progu swej chatki z czapką w rękę.

W tej samej lektyce wynieśli powstańcy Mieczysława, który się jeszcze nie przebudził. Dopiero

kiedy go ciepło świeżej pościeli ogrzało, odetchnął i otworzył oczy.

Zrazu patrzył zdziwiony, ale po chwili uśmiechnął się, przypomniawszy sobie wszystko.

— Tu ci będzie dobrze, naczelniku — rzekł lekarz — sądzę, że miesiąc do zupełnego wyzdrowienia starczy.

— Czyby nie można wcześniej? — zapytał chory.

— Wątpię.

Odtąd szły w chatce dni jednostajnie, jak dygot zegara. Codziennie przyjeżdżał lekarz do chorego, przybywał ordynans z głównej kwatery, bo Mieczysław, nie zważając na chorobę, kierował z łózka całą agitacją swego województwa. Często, kiedy szara godzina rozwiodła nad sercem jego tęczę precudnych widziadeł, zamykał oko, zapominał o dniu białym, a nawet o krwawym boju za kordonem, marząc o bliskiej a przecież dalekiej Wandzie. Im obraz dalszy, tym większych nabiera rozmiarów, a barwy jego spływają się w niewymownie piękne tło. Nazywa się to wspomnieniem i otóż dowód, dlaczego ono takie piękne.

Dumki o szarej godzinie były dla Mieczysława jedynym odpoczynkiem, bo kiedy stary leśnik światło przyniósł, wabiły papiery, na stole rozrzucone, do pracy.

Mijał tydzień, drugi, trzeci, z dachów zabudowań leśnika, z gałęzi sosnowych, z nowiny przed chatką rozłożoną, spływały śniegi, miejsca ustępując zielonym iglicom i świeżym trawom.

Już wiosna rozzieleniła polskie łąny, już ciepłe słońko przez małe szyby do izdebki zagładało, wracając mu zdrowie.

A tam za kordonem lała się krew coraz obficie, a jęki konających zapełniały wonne kwietniowe powietrze, lecąc na skrzydłach kochających Polskę aniółów, przed tron Najwyższego Pana, aby świadczyły za nami.

— Czyż jeszcze nie dosyć? Zmiłuj się nad nami.

Mieczysław oknem patrząc, widział nieraz za granicą przeciągające hufce „naszych”, a za temiż w trop szare hordy Moskwy.

— Czyż jeszcze nie dosyć? Wybaw nas, Panie...

Wieści wygranych i przegranych bitew dochodziły chorego; serce parło go między wojowników, a ułomne cielsko trzymało w łózku.

Dochodziły go jeszcze inne wieści. Do Tobolna nadeszła komenda wojskowa. Na czele oddziału piechoty przebiegał burmistrz okolicę miasta, chwytając, co mógł ująć: ludzi, konie, broń, posyłki i żywność. W więzieniu Tobolna były teraz wszystkie cele zapełnione, a w szopie piętrzyły się całe stosy zabranych przedmiotów.

Stary leśnik, niewiedzący o pochodzeniu chorego, rozprawiał Mieczysławowi o wszystkim, przeklinając burmistrza na dno piekielne.

Mieczysław odwracał się zawsze aby się nie zdradzić bladą twarzą, którą cierpienie bieliło. Okropnie! Rodzony jego ojciec był najzaciętszym wrogiem sprawy polskiej... Na takie bóle duszy nie ma nazwania.

Jeszcze nie dość. I tu przyszły wieści o dyktaturze Langiewicza, o jego ucieczce za austriacką granicę. Mieczysław zrozumiał, że czyn ten był pierwszym ciosem, który uderzył powstanie śmiertelnie, bo gdzie potrzeba złączenia wszystkich sił, szybkiego działania, dopóki trwa zapal, tam bije niezgoda walczących więcej od miecza wrogięgo.

Mijał już kwiecień. Mieczysław wracał do sił; już nawet po kilka godzin na dobę po izdebce i na trawniku przed domem chodził.

Lekarz pozwolił mu z pierwszym dniem maja wrócić do czynnej służby.

Wieczorem przed pierwszym majem wyszedł Mieczysław głębiej w las, używając dalszej przechadzki. Kiedy tak szedł spokojnie, snowając plany na cały miesiąc, usłyszał rozmowę dwóch ludzi, która go zastanowiła, gdyż mówiono o nim.

Stał za drzewem i słuchał. Opoдал, o kilka kroków hupało dwóch ludzi kawały sośniny. Jeden z nich musiał być Niemcem, kolonistą, bo pykał z fajeczki, i miał na nogach pończochy, tkwiące w pantoflach; drugi śnać Polak z czerwoną wstążeczką u koszuli.

— Słuchaj Pietrek — mówił Niemiec, opuściwszy siekiere, którą oparł na kolanie — moglibyśmy łatwym sposobem huk grosiwa zarobić. Trzeba tylko burmistrzowi donieść, że naczelnik Poraj w naszych lasach mieszka, a...

— Ej, nie gadalibyście takich rzeczy, Hofman, bo gotowicie skusić katolika, a przecież ten pan katolik, jak my.

Polski chłop hupał dalej: cup, cup.

— Ta, ta — mówił Niemiec szeroko — co tam katolik albo żyd, ale pieniądze też ładne. Sto talarów za dwie mile drogi, to dobra zapłata. Co wy na to, Pietrek?

Pietrek postawił teraz siekiere.

— Sto talarów? — zawołał. Bójeie się Boga, sąsiedzie, to dwie krówki.

— A tak, hm, — kusił Niemiec — a to wszystko za dwie mile drogi.

— Czy to tylko prawda?

— A juści. Pan burmistrz wyznaczył za żywą głowę tego tam Polaka sto talarów. Powiedzmy, gdzie się ukrywa, a będą dwie krówki, dla was jedna, dla mnie jedna.

Pietrek skrobał się w głowę, oglądał buty, siekiere, znów się skrobał, a mruczał:

— Zawsze to głupia sprawa, ale i pieniądze ładne.

— Co wam do Polaka, Pietrek? Czy oni się to biją za wasze dobro? Wszakóż śpiewają w kościele pańszczyznę, wolność, racz nam wrócić Panie. Oj, będą to głupiego chłopa bili, kiedy zwyciężą.

— Nibyć to wszystko prawda, a...

— Z was zawsze taki niedołęga. Nigdy nie umiecie sposobności wyzyskać i dla tego nic nie macie. Kobięcisko chore, dzieci głodne, na kieliszek wódki nie znajdzie groszyczka, a wy się tylko w głowę skrobiecie.

— To i dłączgóz tego sami nie uczynicie? — zapytał Pietrek, patrząc na Niemca.

Niemiec zmięszał się; po chwili jednak odparł niedbale.

— Tak sobie dla kompanii chciałem was przybrać, boć się w kompanii wszystko lepiej robi.

— W kompanii lepiej się też wisi na suchej gazi — mówił Pietrek.

— Jak wy to rozumiecie?

— A jak? Panowie dowiedzą się i powieszą, jak Mac Oleszuków, co to broń wydał.

— Po co mają się dowiedzieć?

— A jak się dowiedzą, to co?

— My nikomu nie powiemy, a pan burmistrz nie roztrąbi. Jeśli nie chcecie, zostańcie sobie, a ja pójdę sam, i sam sto talarów zarobię.

— Jaki wy gorący, Hofman. Dyc ja nie mówię,

że nie chcę iść, ale się trzeba dobrze namyślić, bo z panami teraz nie przelewki. Powieszają, zostawią człeka na gałęzi i ani pies nie szczeknie. Niby o tem nie wiecie.

Nie czekając na koniec tej nikczemnej rozmowy, opuścił Mieczysław kryjówkę, wracając do chaty leśnika.

Ordynans siodłał właśnie konia, chcąc jechać do Brzezin po raporta.

— Przejdziemy jutro granicę — rzekł Mieczysław do powstańca. Osiodłaj konia, bo dziś sam do Brzezin pojedę.

— Widziano dziś od traktu idących Prusaków, panie naczelniku — odparł ordynans — możeby lepiej było...

— Czy twój koń dobrze idzie? — zapytał Mieczysław, przerywając uwagi powstańca.

— Wiatrem, panie, jak sokół.

— Dobry koń i celny rewolwer są najlepszymi przyjaciółmi ściganego. Nie lękam się.

Godzinę później stanął Mieczysław przed brzezińskim dworem. Stary służący wyszedł uchylając czapki.

— Czy panna w domu? — zapytał gość.

— Wyjechała do Pyzdr, jaśnie panie, bo podobno pułkownika raniono. Tylko z trudnością przemknęli się powstańcy z rannymi między Moskaliskami. Taj, i na to przyszło naszemu dziedzicowi. No, takać to wola Boża.

— A zastępca mój, czy jest we dworze?

— Wyjechał także, bo chce jutro nowy oddział za granicę przeprowadzić, ale wróci wieczorem.

— Proszę mu w imieniu mojem powiedzieć, aby jutro przed świtem ze wszystkimi ochotnikami

przed chatką borowego stanął, bo chcę sam z oddziałem do Polski ruszyć.

— Jak pan naczelnik każe.

Posławszy oknom, za któremi Wanda mieszkała, pocałowanie ręką od ust, zawrócił Mieczysław konia na drogę do lasów.

Nazajutrz, ledwo świtać zaczęło, stał już gotów do podróży przed domem leśnika. Wkrótce potem nadciągnął z Brzezin oddział powstańczy, składający się z dwudziestu ludzi.

— Panie Chorbowski — rzekł Mieczysław do zastępcy swego — proszę rozpuścić wieść, że poszedłem za kordon, a za dni kilka, że zginąłem w którejkolwiek bitwie, aby mnie burmistrz z Tobolna nie ścigał. Jutro lub pojutrze wrócę do was i rozpocznę pracę na nowo, bo mi agitacya za wolno idzie.

— A odwróciwszy się do powstańców, zakomenderował:

— W dwóch szeregach marsz!

Ledwo oddział z miejsca ruszył, wysunęło się z za gęstwiny kilku ludzi. Przodem szło owych dwóch chłopów, a za nimi pięciu pruskich żołnierzy, na samym końcu burmistrz. Wysuwali się cichaczem, oglądając się ostrożnie zwyczajem szpiegów i siepaczy. Kiedy wyszli na równinę i spostrzegli oddział polski, stanęli.

Mieczysław zakomenderował:

— Marsz, marsz!

Powstańcy przyśpieszyli kroku, a pruscy żołnierze nie ruszali się, przerażeni wielką liczbą polskiej eskorty.

— Feuer! — zawołał burmistrz.

— Es hat keinen Zweck, Herr Hauptmann, denn die Polen koennen uns ueber den Haufen

schiessen, wenn sie nur wollen — odparł podoficer.

— Feuer! — powtórzył burmistrz, podnosząc własny rewolwer.

Kiedy się żaden z jego ludzi nie ruszył, wystrzelił sam dwa razy za polskim oddziałem. Kule świsnęły Mieczysławowi nad głową; — syn zakrył twarz ręką, mówiąc:

— Skutki mezaliansu.

Za dziesięć minut był ze swymi ludźmi na ziemi, nad którą ciężyla ręka cara.

X.

Naród polski zapala się łatwo. Duch jego żywy unosi się szybko zapału rwaniem namiętnem, bucha wysoko bohaterstwem i poświęceniem, ale...

Ale zapału płomień ostudza równie szybko pierwsze niepowodzenie. Już my tacy, już innymi nie będziemy. Takimi byliśmy w czasach niepodległości, kiedyśmy nie licząc się z polityką, z własnymi interesami, szczytną myślą unoszeni, walczyli za naszych dzisiejszych ciemniejszych, zadawalniając się tytułem „oswobodzicieli“.

Takie pojęcie misji publicznej jest piękne — o, tak — szczytne, ale niekorzystne, bo polityka — to walka o byt na wysoką skalę, to szachrajka rządów, więc kto silniejszy, albo mędrszy, ten się na powierzchni utrzymuje. Szkoda zapału, szkoda szlachetnej krwi, co się leje w służbie obcych interesów, dopóki ludzkość nie odstąpi od hasła: „morduj a panuj!“

Zapalamy się łatwo, opadamy łatwiej.

O tym rysie naszego charakteru nie powinni zapomnieć przewodnicy, bo każda praca, na dłuższy czas obliczona, już w zarodku martwym płodem.

Dziwna! Trzy miesiące dopiero trwało powstanie, a już skrzydła narodu, tak szeroko z razu rozwinięte, opadać zaczęły, a zapał, dymiący wysokim głębem, strzelającym w niebo, malał, kurczył się, aby się niebawem powlec nad ziemią, jak dym w dzień słotny.

W tym czasie rozbito już mnóstwo obozów. Niefortunna wyprawa Mierosławskiego, nieżołnierski koniec Langiewicza, cały szereg przegranych bitw, daremne czekanie na interwencję Europy, niedostatek broni i amunicji — wszystko to było dusznem na rozpaloną głowę narodu.

Głosy tak zwanym „rozumnych“, które bądź z bojaźni, bądź z podziwu w pierwszych miesiącach narodowej tragedji ucichły, odzywały się już tu i ówdzie, wysuwając się coraz śmieiej z ukrycia.

Niestety — uszła wiara w sprawę, a czemuż bez ruszenie polskie?

Sami powstańcy przestali być oswobodzicielami narodu, bo kiedy było trzeba znosić niewygody obozowisk, głodu, słoty, trudu w marszach, strachu wśród ciągłej ucieczki, — uszły zapały młodzieńcze, jak zwykle bywa, bo człowiek człowiekiem. — Dość, kiedy się naród wspólnie do podniosłej akcji skupi, wiele kiedy się duchowo utrzyma na wyżynach niezwykłych przez parę miesięcy. Nikt żądać nie może, aby prości ludzie dłużej ogniem bohater-skim płonęli.

Nie sztuka z karnym żołnierzem wojować. Ale staczać bitwy z rozbitkami, którzy nie znają służby ani obowiązków szeregowca, co oczy zamknąwszy, biegnie za sygnałem trąbki lub komendą dowódcy, z powstańcem walczyć który chce mieć swoją wolę i sympatyę własne, to sprawa niełatwa. Kiedy pierwszy minął, powinni byli dowódcy powstańców na szeregowców zamienić, bo ochotnik przestaje być po jakimś czasie materiałem wojennym. Cóż, kiedy dowódcy, zmuszeni do ciągłego cofania się, nie mieli czasu do prac organizacyjnych.

Odzywały się już prywaty, raczej wady narodowe. Co głowa, to rozum, co szlachcic to u nas przy-

najmniej oficer, choćby nie miał pojęcia o wojskowości. Panicze ciągnęli na „ruchawkę“ jak na hulankę po województwie: z bryczkami, końmi, z lokajem, a może i kucharzem. Nawłóczywszy się kilka tygodni za jakim obozem, osiadali w pierwszym lepszym dworze, odpoczywając po trudach wojennych. Panny wieńczyły „bohaterów“, matki podziwiały „poruczników, kapitanów, majorów“, a kucharze piekli, aż różny pękały. Jeśli nadomiar którykolwiek z tych panów „oficerów“ był ranny, jużci miał się z pyszna, bo lepiej niż we własnym domu, za piecem mamusi.

Taki obraz przedstawiało powstanie w pierwszej połowie maja.

W tym czasie wrócił na plac bitwy, z ran wyleczony pułkownik Edmund Callier, znany z bohaterstwa, którego świadectwo złożył w bitwie pod Tarkiem. Trzykroć ranny, kiedy ujrzał klęskę swego oddziału, chciał sobie życie odebrać, ale mu towarzysze przeszkodzili. Wróciwszy do zdrowia, pośpieszył do województwa mazowieckiego, gdzie objął w imieniu rannego Mielęckiego dowództwo nad rozbitymi oddziałami Oborskiego.

Kiedy Mieczysław przeszedł z ludźmi swymi granicę, nie było właśnie w tych okolicach żadnego obozu. Dwa tygodnie włóczył się po lasach i dworach, nie chcąc opuścić garstki lękliwej, aż w trzecim o powrocie Calliera usłyszał.

Postać wybitnego oficera, który w służbie narodowej nie cenił życia, a poza bitwą był znany z nieugiętej energii, wabiła Mieczysława. I on pojmował misję swoją poważnie, wiedząc, że takie powstania są grą hazardową, w której człowiek cały dobytek na jedną kartę stawia, i on nie patrzył ani w prawo ani w lewo, tylko oczy czapkę zasłoniwszy, wołał

ciągle jako agitator: naprzód marsz, bo Europa nam nie pomoże, a wszelkie wahanie szkodzi podwójnie: moralnie i materyalnie. Moralnie odbierając narodowi otuchę, materyalnie, pozwalając Moskwie większe rozwinąć siły. Kto się puszcza na hazard, niech rzuca bez skrupułu całe mienie na jedną kartę, niech zwycięży, albo zginie, bo czy tak czy owak — Moskwa nie uleczy sama ran naszych gdy ulegniemy.

Gdyby tak cały naród był powstanie zrozumiał, byłibyśmy niechybnie zwyciężyli, czego dowodem przykłady historyczne Szwajcaryi i Ameryki. Któż może się oprzeć całemu narodowi? Nikt, jeśli bez liczenia do walki staje.

Dowiedziawszy się o powrocie Calliera, zdążył Mieczysław w stronę, gdzie stały formujące się oddziały rannego Oborskiego.

Któregoś dnia włóczęga dowiedział się, że oddział Calliera ciągnie właśnie na nocleg do Piorunowa. Kiedy stanął ze swymi ludźmi w oznaczonej wsi nadchodził już wieczór.

Dwór w Piorunowie przepełniony był oficerami. Po całodziennym marszu odpoczywali dowódcy, zajadając smacznie, nie troszcząc się o służbę obozową, którą powstańcy gorliwiej od regularnego wojska pełnić powinni.

Pułkownik Callier przybył dopiero dziś zrana do obozu. Choć był przez Mielęckiego mianowany dowódcą całego oddziału, musiał się zgodzić na to, że Słupski zatrzymał komendę kawaleryi, oddając legalnemu naczelnikowi tylko piechotę. Takie nieporządki nie mogą uchodzić w regularnem wojsku — w obozach powstańczych były częste, jak gdyby się dowództwo nad jednym oddziałem dało rozłączyć.

Oddział składał się z rozbitków Oborskiego,

Włodka i Szumlańskiego. Po dwóch pierwszych, którzy byli ranni, objęli dowództwo majorowie: Gruszezyński i Gałęcki, ostatni był jeszcze w obozie.

Kiedy właściwy dowódca do obozu przybył, znajdował się obóz w dziwnym nieładzie. Pozornie dowodził tu Słupski, a w rzeczywistości wszyscy trzech majorowie, gdyż każdy był panem swego oddziału. Zamiast kilkuset ludzi dobrze uzbrojonych podzielić systematycznie na kompanie i szwadrony, aby, całość tworząc, stanowiły bezpieczną wobec Moskwy siłę, pomieszano bez ładu rozmaite bronie. Nie było to wojsko, ale zbiorowisko ochotników. Jeden oddział np. liczył 30 kosynierów, 120 strzelców i 60 koni, a drugi 100 kosynierów, 29 strzelców i 9 koni. Nie potrzeba być strategikiem, aby zrozumieć nierozsądek takiej organizacji. Nie dość jeszcze. Za obozem ciągnął tabor tak długi, że by starczył dziesięć kroć liczniejszemu wojsku.

Na takie nieporządki nie mógł Callier przystać, który jako żołnierz regularnej armii, wiedział, czem karność i ład w czasie akcji powstańczej. Więc już na pierwszym odpoczynku zabrał się do oczyszczenia swego oddziału z chwastów, porośłych pod okiem niebaczących stróżów.

W tym celu zwołał trzech majorów, proponując im, aby złali kosynierów w jedną, a strzelców w drugą całość, i podzielili na równe części. Konnica — mówił dowódca — niepotrzebna majorom, więc pójdzie do Słupskiego.

Projekt to jasny. Zdawałoby się, że podkomendni bez wahania się zgodzą, ale podkomendni mieli się odrębnymi dowódcami, więc opór.

Ten prawi:

— Dostałbym ludzi, których nie znam.

Drugi:

— Muszę mieć swoich strzelców.

Trzeci.

— Potrzebuję konnicy.

Nikt nie uwierzy, a przecież prawdą jest, że dowódca z trudem podkomendnych przekonał, iż służba wojenna, to nie zabawka, a porządek wyższym jest nad osobiste zacheianki.

Majorów nie można posądzić o złą wolę. Pokutował w nich tylko grzech pierworodny naszego charakteru: chęć panowania, owe liberum veto, które zgotowało jedną deskę więcej do naszej trumny.

Nareszcie... udało się... majorowie poddali się woli dowódcy. Ale majorowie a wojsko, to znów rzecz inna w powstaniu.

Za wsią, na wolnym polu, kazał się dowódca żołnierzom ustawić, aby podzielić broń, stosownie do swego projektu.

W tej właśnie chwili nadciągnął Mieczysław ze swymi ludźmi.

Wieczór majowy roztaczał już ciepło, wonne skrzydła nad polskim obozem, który świecił kosami i brzęczał szelestem kilkuset ludzi. Z okolicznych lasów dochodził szum tajemniczy naszych sosen, a nad polami unosił się aromat rodzącej gleby.

W długim szeregu stało polskie wojsko, zwróciwszy oko na dowódcę, który projekt swój wykładał. Postawa żołnierzy dowodziła, że z niechęcią ulegają, ale donośny, krótki głos naczelnika i postać jego silna, średnich rozmiarów, o szerokich barkach, stojąca pewno, jakby na żelaznej postawie, odbierała zrazu otuchę do jawnego buntu. Żołnierze domyślali się, że człowiek, który tak stanowczo przemawia, i tak pewno stoi, umiał czynem słowo swoje poprzeć.

Mieczysław zbliżył się, oddał naczelnikowi ludzi, i stanął na uboczu, nie chcąc przeszkadzać.

Kiedy się dowódca do podziału żołnierzy zabierał, podniósł się głuchy szept w szeregach. Każda burza oznajmia się cichem echem dalekich głosów.

Mieczysław widział, jak po twarzy naczelnika mignął ponury blask słusznego gniewu. Ręka żołnierza przywykłego do posłuszeństwa, uchwyciła rękojęść pałasza.

— Kto ma jakie życzenie, niech śmiało wystąpi — zawołał Callier.

Zamiast odpowiedzi, zaszumiał głośniejszy szelest nad obozem.

— Bunt, czy co? — wołał teraz naczelnik. W łeb każdemu strzelę, kto się będzie opierał; każę was dziesiątkować.

Groźba ta rozwiązała śmielszym usta.

— My nie jesteśmy najemnym żołdactwem.

— Nie lękamy się groźby.

— Walczymy za ojczyznę, za wolność.

— Męczennikom sprawy narodowej nie wolno grozić dziesiątkowaniem.

— Albo my to trzoda, aby nas rozdzielano według uwidzenia?

Takie głosy podniosły się z morza niezrozumiałych wykrzykników. Naczelnik widocznie się hamował, choć mu usta drgały, a Mieczysław ścisnął reвольver, mruczając:

— Pal im w łeb.

— Czegoż chcecie! — zapytał dowódca głośno.

— Nie mamy zaufania do majora Gruszczyńskiego — wołali jedni, a drudzy nie chcieli Szumlańskiego.

— Co tam po zmianach. Biliśmy się pod Babia-

kiem, biliśmy się w innych miejscach, a było nam dobrze bez nowych jakichś tam porządków.

Tak wołali hersztowie rokoszu, a dowódzca nie stracił przytomności.

— Albo się bawić przysłicie do Polski, albo walezyć — rzekł. Jeżeli myślicie igrać z ogniem jak dzieci, wracajcie lepiej do kraju pod pierzyny, pod skrzydła matysi, bo takich żołnierzy Polska nie potrzebuje. Kto się zaś chce szczycić pięknem mianem polskiego wojaka, niech słucha rozkazów swego Rządu, któremu na wierność przysięgał, niech nie kąsa dowódców, w imieniu tego Rządu występujących. Kiep ten i kłameca, nie wart moskiewskiego wystrzału, który wyszedł za kraj walezyć, jak płaczącej matce i siostrze w domu obwieścił, a tu, gdzie działać trzeba, dowódczom przykre i tak stanowisko utrudza. Wracajcie sobie do domu, no, wracajcie. niewieściuchy, marodery.

Zamilkli wszyscy — naczelnik spojrział w okolo, i mówił dalej spokojniejszym głosem:

— Czy ten major, czy ten, nie jednoż to? Wszyscy walezymy za ojczyznę, wszyscy jeden cel mamy. więc obojętne nazwiska majorów. Komenda wszędzie ta sama, a huk dział i szcęk broni, waleczność i śmierć nie inne pod wodzą Szumlańskiego jak w szeregach Calliera. Panowie! Zgodą i rozumem, karnością i bohaterką odwagą możemy się jedynie krajowi przysłużyć. Niech żyje Polska!

A cały tłum, przed chwilą buntujący się, wołał:

— Niech żyje Polska i dowódzca Callier!

Bez dalszego oporu dokonał Callier podziatu. Chciał jeszcze tabor zrewidować, ale zapadająca noc przeszkodziła czynnemu dowódcy.

XI.

Poranek majowy zadzwonił setkami skowronków, wzbijających się w szarej dali jasnego nieba, kiedy się obóz do pochodu gotował.

Pulkownik Callier, niechęć Słupskiemu w dalszym ciągu poprzednich planów przeszkadzać, podał się chwilowo jego kierownictwu. Adjutant sztabowy Słupskiego doniósł, że obóz w stronę Lipicy ruszy.

Świeży poranek wonnego miesiąca powiał młodzieńczym oddechem swoim nad wojskiem budzącem się, wracając mu ochotę do dalszego marszu.

Żołnierze zrywali się lekko z posłań, wkładali szybko ubrania, przypasywali broń; konie rżały wesoło, ciury gwarzyły przy furgonach, służba do kuchni odkomenderowana, gotowała polewkę, śpiesząc się, bo już słońce różowemi smugami gasnącej jutrzeńki otoczone, wychylać się zaczęło z za lasów zielonego pasma. Jasne, niezmacone niebo wróżyło dzień pogodny. Raźniejsi tylko dostrzegli gdzieś na widnokręgu lekkie cienie, które zdawały się rosnać i zbliżać.

Wszystko gotowe.

— Panowie, na koń! — komenderował Słupski.

— Bacznosc, formuj się! — wołał Callier.

W kwadrans potem ruszył cały obóz z miejsca.

Przodem Słupski z oddziałem jazdy, za nim kompania strzelców, dalej kosynierzy i na końcu reszta jazdy. Po bokach, szeroko rozłożeni, flankierowali jeźdźcy, do podjazdów komenderowani.

Tak zdążyło polskie wojsko do Lipnicy, ochoczo maszerując, z czapkami na bakier z fantazyą zwieszonemi. Ten i ów poświstywał z cicha, inny nucił pod nosem, a kosynierzy dzwonili w kosy.

Słupski, przodem jadący, zwiesił się niedbale w siodle i rozglądał się w około, jak ktoś, który nie myśli o jutrze, bo, idąc na wojenkę, wiedział naprzód, że Moskale nie straszą grochem tylko prażą kulami. Sympatyczna to była postać, typ istnego powstańca, który ze szlachecką fantazyą ze śmierci sobie drwi.

I reszta obozu szła z gęstą miną, z nadzieją zwycięstwa i wieńców. Toć ranek był cudny. Cała przyroda spodziewała się, cieszyła, oddychała wonią, a mnóstwo ludzi dodawało otuchy. Czegóż się tu lękać? Tysiąc chłopu rusza gościńcem, a wszystkim ko rażne i odważne, boć za Ojczyznę wależą. Tysiąc chłopu! Zwycięzą dziesięćkroć liczniejszego wroga, nie ustraszą się wojska, z szatanów choćby złożonego.

Tak mówiła dusza Mieczysława, który jako niewojakowy jechał obok taboru. Skąd widział przed sobą i za sobą długi sznur połyskującej w promieniach słońca polskiej broni i serce patrioty rośło na widok tak licznego szeregu. Pierwszy to raz ujrzał regularny oddział, występujący czynnie. — Serec mu biło, puls uderzał szybkim taktem, cały system nerwowy grał niecierpliwością i oczekiwaniami pierwszej bitwy.

Pułkownik Callier, siedzący na koniu, jak gdyby z nim jedną część tworzył, objeżdżał tymczasem

w około, zaglądał w każdy kąt. Miał minę powstańca, bitnego żołnierza, a jednak błyskało oko jego ogniem rozumnego wodza, który widzi każdy ruch oddziału. Tu był, tam był, tu przemówił, tam poprawił szyk, z owym pogawędził — zawsze czynny i uważny.

Mieczysława oko szło za tą postacią z sympatyą i ufnością.

Teraz nadjechał dowódca i do niego.

— Przepraszam — rzekł — że się wczoraj krótko z panem rozprawiłem, ale nie miałem czasu, jak widziałeś.

Mieczysław skłonił się lekko.

— Nie sądzę, abyś pan chciał zostać przy obozie — mówił dowódca.

— Byłoby to nierozumnem — odparł Mieczysław. Tu, nie będąc wojskowym z fachu, mógłbym tylko jako szeregowiec służyć, bo do stopni oficerskich nie mam pretensyi, jako profan, a na cywilnem stanowisku mojem mam większe i wdzięczniejsze pole do działania.

— Słusznie. Kiedy pan myśli wrócić?

— Będąc już raz na terytoryum wojny, chciałbym widzieć jaką bitwę.

— Kiedy panu takim widowiskiem będę mógł służyć, nie wiem — odparł dowódca z uśmiechem. Może późno, może i rychło, bo my tu nie wiemy ani dnia ani godziny. Pif, paf z za krzaku i jest bitwa. Jakże się panu obóz przedstawia?

— Serce mi rośnie...

— Rzeczywiście?

I obejrzał się dowódca z dumą w około. Było rzeczywiście na co patrzeć.

Już słońce południowe z góry prażyło, kiedy obóz mijał wieś Grochowy, zdążając na odpoczynek

do pobliskiego lasu. Kilkogodzinnym marszem zmęczone wojsko nie mogło się doczekać komendy: stój!

Kiedy ostatnie oddziały pod chłodzącym cieniem zielonych drzew odetchnęły, rozległa się nareszcie upragniona komenda. Kto mógł, rzucił się na mchu posłanie, wyciągnął nogi, i podłożywszy ręce pod głowę, używał słodczych odpoczynku, którą tylko ten ocenić umie, co przez kilka godzin po-
tniał.

Tyina straż nadciągnęła po krótkim czasie, raportując, że nie widziała za sobą nic niebezpiecznego. Spokojnie więc rozłożył się cały obóz, obiady i odpoczywając.

W tem — po godzinie donosi ktoś pułkownikowi, że widzi daleko, na widnokręgu za Grochowami kilka czarnych punktów.

Dowódca zwraca lunetę w podejrzaną stronę — patrzy kilka chwil, a potem mówi:

— Są!

Kto bliższy zrywa się na równe nogi, sąsiad trąca sąsiada i lotem myśli sunie jedno słowo po całym obozie.

— Są!

— Do broni! — rozlega się komenda.

Słupski w tej samej chwili dosiada konia i spieszy już na czele plutonu na górkę pod wiatrak między wsią a lasem leżący.

— Bacność, formuj się! Strzelcy w trzech oddziałach, kosynierzy tak samo na krawędź lasu, na przód marsz!

Komendę głównego dowódcy powtarzają oficerowie: w kilka minut ciągną oddziały na wskazane miejsce. Idą śpiesznie, w milczeniu, nie jedna twarz błędnie, wszystkie serca uderzają o sklepienia pier-

si, bo śmierci uścisk to nie kochanki objęcia, a młodość, to nie starość, życiem zmęczona.

Stanęli na miejscu; oczy wszystkie zwracają się na dowódcę, którego oko sięga daleko za wieś, kędy już szarzeją moskiewskie mundury.

Na około las, pod prostym kątem wystrzeliła droga z Grochowów do Lipicy, przed lasem wieś a na prawo wiatrak. Najlepiej byłoby zająć wieś, aby stamtąd nieprzyjaciela przywitać. Tak myśli dowódca, ale Moskale z tamtej strony już bliżej wsi stanęli, więc nie można.

W rozwartym kącie przed lasem, wierzchołkiem do drogi przytykając, a bokami w lesie ginąc, ciągnie się rów szeroki i głęboki. Znakomita sytuacja strategiczna!

Widzi to dowódca i już woła do adjutanta:

— Hufiec środkowy wyszle swych strzelców do rowu na lewo; reszta strzelców obsadzi krawędź lasu, a kosynierzy w trzech oddziałach zaczekają, na brzuchu leżąc, na komendę.

Adjutant niesie rozkazy — oficerowie powtarzają je, strzelcy obsadzają już rów. Odbywa się to wszystko szybko, w porządku, w milczeniu, bo w takich chwilach czuje najmniejsza jednostka, że traci siłę, gdy się odłączy od gromady.

Na prawo za wsią rozwija się dzika horda kozacka, na lewo od wsi do lasu obsadza piesza czerń moskiewska szeroką drogę.

W tem huk się rozlega, dym się wzbija. To Słupski z pod wiatraka wita kozaków, którzy w zamian szlę ołowiane gadziny. Już kule syczą w powietrzu — świst, dym, wołanie.

Bitwa!...

Za Moskwą, ze wsi buchają kłęby czarnego dy-

mu, który się chmurą nad wojskiem rozwija. To świadki moskiewskiej gościny w Grochowcach.

Teraz wraca Słupski z pod wiatraka. Galopem przebiega konnica obok piechoty, wzbijając za sobą chmury kurzawy. Przebiega szybko, salutuje w drodze, i znika. Wycofnął konnicę po za doniosłość nieprzyjacielskich strzałów, bo nadchodzi robota dla piechoty.

I znów huk z prawej i lewej strony, bo z lewej uderza piechota moskiewska na polski obóz, a z prawej kozacy.

— Ognia!

Szczęknięły bronie, świsnęły kule.

— Ognia!

Komenda powtarza się raz w raz; z jednej i z drugiej strony lasu idzie rześisty ogień, ale polskich strzelców zasłania rów i las, a Moskwa stoi odsłonięta.

Moskwa pada nasi strzelają.

W tym czasie stoi Mieczysław na krawędzi lasu i plecami oparty o drzewo, z rękoma na piersiach skrzyżowanymi patrzy spokojnie na to widowisko podniosłe. Ani drga, ani dreszczów nie czuje, ani bojaźni. Oko jego rozblysnęło zapałem, nozdrza jego ruszają się, pierś podnosi; widzi przecież walkę za ojczyznę. Kule brzęczą w koło jego głowy, niby zjadliwe osy. Niech brzęczą; nie trafią mnie, bo jeszcze krajowi potrzebny jestem...

— Ha, jaka rozkosz!

Napatrzywszy się, chwytą za broń jednego z bojaźliwych, nabija i strzela razem z innymi.

— Niech żyje Polska! — woła, skacząc do rowu między tyralierów.

Dowódca stoi tuż za oddziałem i woła głośno komendy słowa. I jego oko błyska, czoło rozpromie-

nia się, widać, że jest w swoim żywiole. Tak wspina się koń wojskowy i rży radośnie, kiedy usłyszy trąbkę bitwy.

Z lunetą w lewej, pałaszem w prawej ręce stoi dowódca i woła:

— Odwagi, bo za kraj walczycie. Ognia!

Major Szumlański, dowodzący środkowym oddziałem, naśladuje swego wodza, bo stoi wśród gradu kul, a rusza się tak swobodnie, jakby na woskowanej posadzce. Oj, nie lada taniec...

Moskwa, nie widząc kosynierów i ukrytych strzelców, myśli, że bagnetem powstańców zwycięży. Zwraca się frontem: marsz, marsz! zdąży do lasu.

W tem odzywa się komenda:

— Kosyniery trzeciego hufca nawrzód, marsz!

— Kosyniery podnoszą się — hura! wołają i biegną naprzeciw. Moskwa staje, dziwi i zwraca się na drogę.

— Kosyniery, cholera! — słyhać klątwę wroga.

Moskwa domyśla się, że ma do czynienia z większą siłą, więc cofa się ku wsi, odstrzeliwając się regularnie.

Dowódca zdejmując czapkę, ociera pot z czoła i mówi do wojska:

— Dziękuję wam wiarusy; sprawiliście się dobrze.

Żołnierze podnoszą się z ukrycia i z rowu. Na twarzach promienieje radość; znamię to spokojnego sumienia po spełnionej pracy. Oglądają się wokoło; — ani jednego trupa, ani jednego.

— Hura! — rozlega się głośny okrzyk, a polskie drzewa odpowiadają tysiącami głosy polskiemu wojsku. Cały las drży radośnie, szeleszcza liś-

cie, opowiadają sobie trawki, śpiewa ptactwo spłoszone, a wszystkie głosy wołają: niech żyją!...

A ze wsi, z Grochowów, znów buchają kłęby dymu. Słomiane dachy płoną, sypiąc czerwone iskry wysokimi płomieniami, bo Moskwa mści się na chatach i stodołach za to, że musiała pole bitwy Polakom zostawić. Pijana horda mści się i na niewinnych, mordując, kto jej w drodze staje. Kilku maroderów polskiego obozu, co się przed okiem narodowych wodzów między chatami pokryli, padli już poprzednio ofiarą. Tak ukarał geniusz Polski wyrodných synów, którzy się zaciągnęli do powstańczych szeregów, a kiedy nadeszły trudy obozowe, opuścili haniebnie sztandar ojczysty.

Słońce stało wysoko, kiedy pierwsze strzały padły, kończyło właśnie drugą połowę dziennej wędrówki. Chyliło się coraz więcej ku wierzchołkom drzew, między którymi niebawem zniknie. Tarcz słoneczną obwiodło krwawe koło. Żołnierze patrzą w górę i mówią:

— Będzie deszcz, a do Lipicy jeszcze daleko.

Cichy wieczór wiosenny dotyka chłodnym swym oddechem spotniałych skroni polskiego wojska, a lasy szumią uroczym — jakby modlitwą dziękczynną.

Ale do Lipicy, gdzie od godzin kilku czeka obiad, jeszcze daleko, a noc bliska. Więc po krótkim odpoczynku rozlega się komenda Słupskiego:

— Panowie, na koń!

Callier woła:

— Bacność, formuj się!

Tym razem idzie tabor w przednim szeregu za konnicą, bo Moskwa mogłaby się jeszcze nawrócić, niepokojąc obóz na tyłach. Dowódca jedzie ten na samym końcu, aby czuwać nad bezpieczeństwem swego wojska.

Słońce schodzi coraz niżej. Już się spuszcza za drzewa, przezierając milionem różowych promieni, co złocą cichego lasu sosny, dźby, jodły i brzozy! Na zachodniej stronie wydaje się każdy listek purpurową tkaniną, a pnie płonącymi krzewinami.

Długie promienie konającego słońca igrają na kosach i broni innej, i idealizują twarze rozpromienionych samowiedzą potęgi żołnierzy. I jakby na komendę wypływa z kilkuset piersi hymn narodowy „Boże coś Polskę“ rozlega się szerokim kołem, bo cichy wieczór niesie pieśni echo daleko po rozmodlonych łąkach.

Wspaniały widok;

Czuje to Mieczysław, który jedzie obok dowódcy, uchyla czapki, składa ręce na szyję konia, podnosi oko radością upojone, i modli się... zachwytem:

— Zwycięzimy! — mówi serce patrioty. — Będziemy mieli wolny kraj, wielką ojczyznę, będziemy szczęśliwi... Nie płaczcie wdowy i sieroty nasze, bo chwila wolności osuszy wszystkie łzy. Samo niebo powinno sprzyjać, widząc tyle zapału i miłości niezwykłej.

Ale niebo nie sprzyjało...

Nagle zrobiło się ciemno na około. Zachodzące słońce gdzieś znikło, a tak szybko, że nie można było dostrzedz drgań konania. Daleki cień, który zrana na wschodzie majaczył, zbliżył się teraz, urósłszy w czarną a wielką chmurę. Już padają pierwsze krople, szeleszcząc w gałęziach drzew, jak gdyby ktoś z góry grochem sypnął.

Dowódca patrzy w niebo i mówi:

Żle. Niebawem ogarną ciemności obóz, a tu wsząd gąszcze, zarośla, las, a nigdzie drogowskazu.

Więc galopuje do przodu i woła:

—Bacność! Niech się każdy trzyma poprzednika, nich nikt nie opuszcza szeregów, aby się łańcuch nie rozerwał.

Noc ciemna zapada teraz szybko — z pierwszych kropli robi się ulewny deszcz, który płynie z góry na zmęczone i głodne wojsko. Coraz ciemniej w około, coraz wilgotniej na grzbiecie żołnierzy, a tu spieszno, bo do Lipicy jeszcze daleko.

Ucihły śpiewy i gawędy. Jaki taki kurczy się, ścisła broń pod ramieniem i rusza, opuściwszy głowę, aby przynajmniej twarz od deszczu zasłonić.

Oficerowie i adjutanci objeżdżają w około, napominając bezustannie, aby się wojsko kupytrzymało.

— Marsz, marsz! — woła komenda.

— Nie opuszczać szeregów.

— Trzymać się poprzednika.

Ciury i furgony zwolnić kroku.

Tak napomina komenda, a obóz posuwa się, milcząc, bo wszyscy pragną jak najspieszniejszego odpoczynku.

Mijają godziny długie i straszne. Zrobiło się tak ciemno, że towarzysza obok nie widać, a z góry deszcz leje, a w około lasy. Nie słyhać żadnego głosu oprócz szelestu spadającej wody i ciągłej komendy:

— Uważać, iść równo, trzymać się szeregu.

Ale zmęczenie jest silniejsze od woli człowieka. Ten i ów głodny, przemokły, znużony, ogląda się za jakim dachem. Więc pada wśród drogi, skrada się pod większe drzewa, między krewiny się ciśnie, albo pnie na furgony.

Szeregi topnieją widocznie. Spostrzeżga to dowódca i woła donośniej, ale głos jego rozplywa się w deszczu, lub tonie niesłyszany w uchu zmęczone-

go żołnierza. Kto wie, czem jest zupełne fizyczne zmęczenie, jak bierze wolę człowieka, siłę, myślenie nawet, jak go nieczułym robi na wielkie niebezpieczeństwa, ten nie potępi żołnierza. Człek rzuca się na ziemię, czy w błoto, czy w śnieg — obojętne mu — czy kule świszczą nad nim, albo błyszczą bagniet sołdata, — nie patrzy: niech się dzieje, co chce, bo nie mogą dalej.

Słupski z konnicą rusza przodem, nie troszcząc się wcale o pieszych. Same konie, deszczem smagane, podnoszą głowy, chrapią, parszczą, przyspieszając kroku.

Już późna noc; deszcz nie ustaje; zmęczenie coraz większe ogarnia wojsko, kładąc się ołowianemi skrzydły na leniwo pracujące członki. Czego się dowódca lękał — staje się. Słupski z konnicą i jedną częścią piechoty odłączył się od całości, a znając drogę spieszy ku Lipicy. I druga część, przy której dowódca został, zdąży także, ale dokąd? nikt nie wie.

Coraz ciemniej, coraz chłodniej. Druga połowa obozu przedziera się przez zarośla, błędzi po manowcach. Ani światelka, ani chaty, ani człowieka po drodze. Ciało żołnierzy wypowiada do reszty służbę. Całemi gromadami rzucają się wśród zarośli, ciemną nocą zastawieni przed uważnem okiem wodza.

— Marsz, marz! — woła komenda raz w raz — trzymać się szeregu — ale szeregi topnieją.

Kto silniejszy, lub więcej misją powstańca przejęty, wlecze się za poprzednikiem, gardząc zmęczonym ciałem; kto słabszy opuszcza obóz i ginie w krzewinach — pastwą dla Moskwy, która nadciągnie i pojedynczych maroderów kolejno wymorduje.

Było już dawno po północy, kiedy obóz wybrnął z lasów. Pod kątem prostym do kierunku, w któ-

rym się pochód odbywał, szła szeroka droga. Dowódca wysłała na prawo i lewo jeźdźców aby rozpatrzyli miejscowość.

A deszcz nie ustaje. Coraz rześciej leje się na żołnierzy, którzy tracą wolę i przytomność do reszty. Jedni rzucają się apatycznie na ziemię, w błoto, drudzy, skuleni, na broniach oparci, patrzą przed siebie... bez nadziei i myśli. Niech się dzieje co chce...

Wysłani jeźdźcy wracają, raportując, że nie widzieli ani wioski ani karczmy, ani żywej duszy. — Któżby się w taką porę z chaty wychylał? Toć zwierzę polne do nory się chowa.

— Dokąd, w którą stronę! — myśli dowódca, ale wyjścia nie widzi.

Mieczysław, który dotąd wedle możliwości adjutantom pomagał, siedzi na koniu w pałak zgięty, bo on człowiekiem, jak wszyscy, a delikatny jego organizm, miejskimi wygodami rozpieszczony, odczuwa zmęczenie cielesne więcej od innych. Ślania się w siodle — oczu mu się kleją — ciało opada, ale duch silny dźwiga leniwego niewolnika.

— Nie sprzyjałoś niebo — mówi z cicha. Większym ty wrogiem jesteś, kiedy się bezmyślnie i bez powodu rozgniewasz, od ludzi, bo ci mogą zabić ciało, a nigdy ducha. Dziś rano jeszcze rosło serce moje na widok takiej siły i ufność, a teraz?...

Zamilkł i opuścił głowę jak wszyscy, nie skutkiem apaty, lecz gniewem przejęty.

— Mnie się zdawało, że tak świętej sprawie nawet przyroda sprzyjać powinna — mruknął.

— W tem przedziera się przez gęstwinę jakiś jeździec i woła:

— Czy tu jest pułkownik Callier?

— Czego tam? — pyta dowódca.

— Pan Słupski, który już jest w Lipicy, przysłała mnie, abym resztę obozu doprowadził.

Wojsko formuje się samo, w milezeniu, bo najprostszy żołnierz czuje, że go w obecnym położeniu rota kozaków znieść może.

Ledwo się komenda: marsz! rozległa, podnosi każdy zmęczone nogi, wyteża oko w ciemności, aby nie stracił poprzednika i zdąży w szeregu za oddziałem. Marsz ten odbywa się szybko, z wstrzymanym oddechem; ostatecznie to wysilenie zmęczonych do rozpaczki ludzi.

Po niejakiem czasie zmniejszają się krople deszczu, aż zupełnie giną. Na wschodzie rozwidnia się niebo — ludzie oglądają się w około:

— Gdzież jesteśmy?

Przewodnik, który miał oddział do reszty doprowadzić, odpowiada z bojaźnią:

— Nie wiem sam, zbłądziłem.

Przed obozem ciągnie się szereg jakichś chat, do których dowódca każe maszerować. To huby niemieckich kolonistów. Ponieważ ludzie ani kroku postąpić nie mogą, a dalsze błędzenie nie miałyby sensu, dlatego każe dowódca żołnierzom w hubiarских stodółach odpocząć, a sam pędzi z adjutantem swoim ku Lipicy, wzięwszy hubiarza za przewodnika.

Z bronią w rękę rzuciło się wojsko na posłanie, usypiając natychmiast twardym snem. Czuwał tylko major Gałęcki, któremu pułkownik w zastępstwie dowództwo powierzył. Po kilku godzinach wraca hubiarz z Lipicy z rozkazem, aby oddział natychmiast za dowódcą podążył.

Jużci woła Gałęcki nad śpiącymi ludźmi!

— Panowie na koń, do szeregu-

Biedni zrywają się, przecierają oczy i formują się, nieosuszeni jeszcze i głodni.

— Marsz!

Oddział posuwa się z apatyczną rezygnacją jak człowiek który nie ma nic do stracenia. Jedyną mu dziś pociechą, że powietrze po wczorajszym deszczu świeższe i miłsze, że słońko tak wesoło z góry patrzy, a ptactwo znów śpiewa. Ale wczoraj przyświecało im słońce inne, lepsze, bo wiara w siłę wielkiego obozu, nadzieja zwycięstwa, — słońce wewnętrzne, które duszę opromienia, serca bicie zdwajając, a dziś? dziś wlecze się trzystu znużonych i chorych rozbitków, nie popychanych zapalem.

— Ot, tam Lipica — mówi przewodnik, wskazując ręką na miejscowość, o pół mili odległą.

Żołnierze przedłużają kroki; ten i ów raźniej postępuje. Przecież tam reszta oddziału; może wrócimy do wczorajszej siły...

A z Lipicy wzbija się po drodze kurzawa. Pewnie to nasi naprzeciw jadą. Galopem nadbiega adiutant i niesie rozkaz:

— Spieszcie się, bo kozacy niepokoją Słupskiego.

Wojsko spieszy się; o, gdyby skrzydeł od wiatrów pożyczyc, od wczorajszego zapalu skrzydeł sokolich.

— Puk, puk — ale nogi to nie skrzydła.

Kurzawa zbliża się. To dowódzca z plutonem jazdy naprzeciw wyjechał. Łączy się z obozem, i naprzód marsz w stronę, gdzie padły strzały.

Pukanie ustaje po krótkim czasie. Snać było to tylko podjazdowe strzelanie. Kiedy oddział do Lipicy przybył, rozgląda się dowódzca w około: ani Słupskiego, ani Moskali nie widać. Wysłani jeźdźcy

wracają, raportując, że nie mogą odnaleźć śladu drugiej części oddziału.

Dowódzca widząc, że trudno konnicę dopędzić, przelicza szeregi, porządkuje i rusza naprzód, aby jak najrychlej stanąć w lesie, który się niedaleko stąd rozłożył. Po kilkugodzinnym marszu odpoczął obóz w okolicy jakiejś wioski, a pokrzepiwszy się, udaje się w dalszy pochód i wchodzi ponownie na Moskali. Leśniczy wśród drogi wypytany, opowiada, że Moskale obozują na nowinie w lesie, że ich nie wielu, bo tylko dwie rotty piechoty, dwa działka i kilkudziesięciu konnych.

— Stoczmy bitwę. Może zwycięstwo wróci rozbitkom otuchę — myśli dowódzca i wydaje po cichu rozkazy, bo Moskale tuż za drzewami obozują, jak leśniczy doniósł.

Pozycya tym razem niekorzystna. Na około las; powstańcy i Moskale w lesie. Przez szczeliny drzew widać wycięte miejsce, na którym chatka czernieje. Między Moskwą a polskim wojskiem ciągnie się droga, a w lesie po stronie powstańców jest kilka kotlin głębokich, otoczonych pagórkami.

Dowódzca ogarnął szybkim okiem pozycję i już spieszy ze strzelcami na krawędź lasu, aby ich tam w tyralierkę rozrzucić.

Cichutko, bez rozgłosu zajęli strzeley wskazane miejsca, cichutko pokładli się kosynierzy w kotlinach, gdzie mieli czekać na Moskali. Jeden pluton jazdy idzie naprzeciw lewemu skrzydłu nieprzyjaciela, a prawy staje za pagórkami, aby w razie wypadku mógł piechotę zastawić.

Plan bojowy odbył się szybko, jak pod Grochowami, ale nie tak ohocho. Ze sere żołnierzy uszła już odwaga, która wczorajsze ruchy przyspieszyła. Słuchając patrzą z ukosa, kędyby uciec, lub

gdzieby się ukryć. W bitwach regularnej armii zwyża karność żołnierza, dobroć broni i geniusz dowódcy, ale w potyczkach ochotników musi odwaga zastąpić niedostatek broni i karności.

Dowódzca widzi niemoc swego wojska i dlatego ustawia je tak, aby nie mogło ujsć.

Przymuszę ich do rozpaczliwej bitwy — mówi do adjutanta. Moskwa sama kosynierów najdzie, a wtedy muszą walczyć do upadku, zwyciężając lub ginąc. Znacmy krwią nasze ślady.

Mieczysław zsiada z konia, chwytą kosę i staje wśród leżących kosynierów, przejęty ważnością chwili.

— Ognia! — komenderuje dowódzca.

Sypią się strzały polskich tyralierów na Moskali, podnosi się pierwszy dym bitwy, ale równocześnie zagrzmiały działa przeciwnika. Wielkim łukiem krążą granaty nad powstańcami, rozpryskując się z hukiem w tysiączne odłamy. Śmiertelny strach pada na kosynierów, apatyą i bojaźnią już rozbrojonych.

— Retę Marya, zabierają nam tył, jesteśmy w matni. Uciekajmy!

Cheą się zrywać, uciekać, ale oficerowie przekonują, że to granaty pękają.

— Nie ruszać się, niedołęgi! — woła dowódzca.

— Zabierają nam tył, — wymordują jak szczytnięta.

— Nie bądźcie dziećmi, to granaty pękają.

— Biada temu, kto się ruszy.

Tak wołają na przemian: dowódzca, oficerowie i żołnierze, a Moskale kroczą tymczasem spokojnie, zachodząc łukiem z lewego skrzydła. Huk armat powtarza się regularnie, z za drzew strzelają polscy strzelcy, kosynierzy lamentują, nie dając się przekonać.

Wtem daje adjutant znak dowódcy, że Moskale wchodzą na pagórek, za którym kosynierzy leżą.

Callier staje w dolinie, wspina konia i dobywszy pałasza, woła głośno:

— Za mną wiara, marsz! — i już stoi na pagórku, gradem kul oświstany.

Cóż to? Krzyk "hura" rozlega się w około, ale nie tuż obok dowódcy. Uchodź, ginie w końcu, a szczyk kos nie wtóruje wołaniu.

Callier ogląda się; jedna kosa błyszczy na wzgórkę — kosa Mieczysława, a reszta połyska o kilkaset kroków w drugiej kotlinie.

— Pierzchnęli! — mówi przez zęby, gniewem zacięte. Nawracajmy panie, bo nas dwóch Moskwa zarąbie.

Nawraca konia i spieszy, ścigany kulami nieprzyjaciela do uciekinierów.

— Hańba wam — mówi dowódzca — poprawcie się i zmyjcie tę hańbę drugim atakiem, aby was naród nie oplwał jako tehorzów.

Kosynierzy słuchają, mileżąc, ale serea ich nie biją już na głos wodza, bo z tych sere uszła odwaga.

Na widok Moskali, którzy spokojnie postępują wypierając Polaków z pozycyi, kurezą się, chylą i zamiast uderzyć na wroga, uciekają powtórnie.

Za polem bitwy rozciąga się płaszczyna, zastawiona sążniami dębiny. Dowódzca napomina raz jeszcze:

— Ustawić się za sążniami!

Gdzież tam! Strach padł na kosynierów, więc rzucają kosy, uciekając w las, na pola. A Moskwa praży z tyłu, a działa grają, a żołdacy krzyczą: — hura!

Zamieszanie, popłoch.

— Uciekajmy, bo nas wymordują.

Kto może biegnie w las; konnica uchodzi galopem z pola bitwy, nie troszcząc się o wołanie dowódcy, któremu serce pęka na widok ostatecznego rozbitcia.

Gdzieś w lasku pod Grójcem zbierają się szczątki rozbitego obozu — stu kosynierów i kilku strzelców...

Słońce stoi jeszcze wysoko na niebie i patrzy na hańbę polskich wojaków, którzy nie mieli odwagi zginąć za ojczyznę; zielone drzewa nie szleszczą; owszem, opuściły listki... smutne i nieme, aby nie widzieć hańby powstańców.

Czyli kosynierzy pojmują nizezemność minionych godzin? Zdaje się, że ją teraz odczuli, bo i oni pospuszczali głowy, nie śmiejąc podnieść oka na dowódcę, który szarpie konia i ścisną pałasz w dłoni, męczony gniewem i żalem.

Kilku wieśniaków, przytrzymanych wśród drogi, donosi, że Moskale przybyli do Grójca i zalegli cały dziedziniec.

Do rządcy dóbr grójeckich wysłany ordynans, wraca bez wiadomości, bo docisnąć się nie mógł do dworu.

— Do cieświckich hub pójdziemy — wyrzekł dowódzca.

Przyszedłszy na oznaczone miejsce, rozkłada się obóz w zajętych stodołach, aby wypocząć, a dowódzca galopuje do komisarza polskiego rządu, od którego chce zasięgnąć wiadomości.

Z obojętnością ludzi, niespodziewających się już niczego, czekają powstańcy na wodza, który znosi dalej trudy wojenne w chwili, kiedy najprostszy żołnierz odpoczynku używa.

Po dłuższym czasie wraca pułkownik Callier, a wraca wolno, bo ze smutkiem. Z raportów rządowego komisarza przekonał się, że dalsze wstrzymywanie rozbitków byłoby rozmyślnem samobójstwem bo Moskale ciągną szerokim kołem ze wszystkich stron.

— Panowie, trzeba się rozstać — mówi dowódzca do odpoczywających ludzi. Zakopcie broń i rozkwaterujecie się aż do lepszych czasów.

Nie mówi nie więcej — odwraca się twarzą do obozu w las, bo serce wojaka bije młotem. Co tu mówić? Największy żal milezy... Wczoraj wspały obóz... dziś garstka rozbitków... ah...

I Mieczysław milezy.

Patrzają obaj w promienie zachodzącego słońca z załamanami rękoma, patrzają długo, czekając na skrzydła nocy, aby te zasłoniły szczątki wczorajszej siły. Oko patryotów nie chce widzieć rozpraszcanych się uciekinierów...

XII.

W brzezińskim dworze panował dotąd ruch powstańców. Bramy i podwoje stały zawsze otworem, służba witała każdego ochotnika z równą zawsze gościnnością, zastępując Wandę, która miała w bród pracy poza domem.

Często zajeżdżali tu pruscy ułani, czasem przybył burmistrz na czele piechoty, ale nie wytropili żadnej zdobyczy, bo w Brzezinach czuwał najmniej-szy chłopezyk.

A przecież rozgościł się smutek w brzezińskim dworze. Już w pierwszej połowie czerwca umarł stary pułkownik z ran, zostawiając dzieci swoje, Wandę i służbę sierotami. Łez wiele polało się na mogiłę dobrego ojca, pana i żołnierza, ale lzy trzeba było rychło otrzeć, bo zroszone oko, nie widząc jasno, służyć nie może sprawie krajowej.

W nieobecności Mieczysława kierowała Wanda całą agitacją, pomagając zastępcy, podziwiali bohaterką dziewczynę, której nie złamać nie mogło. Tak się zdawało.

Ale w rzeczywistości słabły siły Wandy. Śmierć stryja, nieobecność kochanka, przykre wieści z za kordonu nie miały bez wpływu. I ona przestała już wierzyć w pomyślny koniec powstania. Wszakże zapisały już dzieje nasze cały szereg niepowodzeń. Rozprószyły się hufce Langiewicza, Mierosławski poniósł klęskę, Taczanowski pod Ignacemem zniszczył kwiat Wielkopolski, Mielęcki konał z ran, a i

Callier musiał rozpuścić resztki swego obozu. Oddziały tworzyły się szybko, ale szybciej jeszcze wracały rozbitki, roznosząc po Wielkopolsce niewiarę, apatyę i niechęć.

Daremne trudy!

Moskwa uderza potrojonemi siły, a Polacy nie mają czasu do systematycznej organizacyi obozów, do ćwiczenia powstańców w rzemiośle wojennem. Ledwo się zbierze jaki oddział, jużci rozprasza go Moskwa.

Tu i ówdziie zjawia się jaki bohater-dowódzca lub straceniec, ale niezgoda, ambicya lub prywatata toczą resztę oddziałów. Lud prosty, na którego liczone, stoi na uboczu, mieszczanin idzie, ale strudzony służbą obozową, którą sobie inaczej wystawiał, wraca czempredzej pod strzechę matysi, albo, wałęsając się po dworach, wyzyskuje gościnność obywatelską; szlachcic dosiada konia, i chce być koniecznie "starszym", bo słuchać nie umie. Prusacy łapią broń, furgony i samych powstańców, Austrya przeszkadza, Europa patrzy obojętnie na to tragiczne widowisko, a polski Rząd narodowy nie ma odwagi ogłosić pospolitego ruszenia, coby jedno mogło nadać sprawie inny zwrot.

Polski Rząd nie chce postawić wszystkiego na jedną kartę, jak się wyraża, a przecież... pierwszy wystrzał pierwszego powstańca rozpoczął grę hazardową i rzucił kraj wobec Moskwy na jedną kartę.

Zapał już ostygł w kraju; już podnoszą "rozumni" i nierozumni śmielsze głosy, zamiast się hurtem na wroga rzucić.

Daremne trudy... i dopotąd bezowocne będą, dopokąd cały naród nie stanie jak jeden mąż, dopokąd pożar buntu nie ogarnie wszystkich strzech od

miasta do miasta, od siola do siola, od komina do komina. Wysoko buchnąć musi płomień, aby blask jego oświecił Europę... i rozbudził ją z samolubnego snu szachrajskiej, żydowskiej polityki, która nie zna innych motywów do akcyi publicznych jak kupieckie "credit" i "debet"; głośno jęknąć musi rozpacz narodu, aby wołanie doszło uszu panów dyplomatów, dla których polityka zabawką jest, polem popisu, zamiast służbą w sprawie mniejszej braci.

Europo! A my, a ojcowie nasi nie oglądali się z własną korzyścią...

Wandy siły słabną. Polska kirem się okrywająca, stryj w mogile, a kochanek może gdzie pod sosną lub pod kopytami moskiewskich jeźdźców konający — to dość, aby energię dziewczyny złamać.

Kiedy stryj skonał, została Wandzie jedyna nadzieja męskiej podpory. Nie powiedzieli sobie dotąd ani słowa o miłości, nie budowali zwyczajem zakochanych złocistych zamków na przyszłe życie, ale każdy uścisk ręki, każde spojrzenie ważyło więcej od stu przysiąg.

— Gdzie jesteś, Mieczysławie? — pytało serce Wandy, drżąc bojaźliwie, ilekroć rozpowiadano o nowej klęsce. Może on tam był, może zginął, może go rozsiekali...

Trzy tygodnie już minęły od wyjazdu Mieczysława. Do Brzezin nadchodzili rozmaici ludzie, — między którymi było w ostatnich dniach kilku robotników z oddziału Calliera. Rozpowiadali o odwadze Mieczysława Poraja, ale dalszych jego losów nikt nie znał.

Już się czerwiec kończył, kiedy pewnego wieczoru do salonu wszedł Mieczysław.

Nagle pojawienie się kochanka, odebrało Wan-

dzie pamięć zawartego kiedyś układu. Z krzykiem rzuciła się mu na szyję.

— Drogi, serdeczny...

— Wando moja...

Nazajutrz zabrał się Mieczysław do przerwanej pracy, bo właśnie formował pułkownik Raczkowski nowy oddział dla Kujaw. Od czasu powrotu naczelnika ożywiły się nadgraniczne powiaty, bo gorące słowo Mieczysława umiało rozżarzyć gasnącą iskrę zapału w stygnących sercach okoleznej szlachty. Posyłki szły znów regularnie za kordon, często i mniejsze gromady ochotników, a czujność pruskiego wojska rosła w miarę wzmagającej się agitacyi.

Kiedy się to dzieje w Brzezinach, zarabia sobie burmistrz Tobolna na imię niemieckiego patrioty ku podziwowi i uznaniu poznańskiej rejencyi. -- Więzienie miasteczka nie może pomieścić licznych aresztantów, ani dziedziniec ogarnąć zabranych wozów z amunicją i żywnością.

— Order pewny — myśli burmistrz.

Już w pierwszym tygodniu czerweca doszła go wieść o śmierci syna, ale tylko na krótki czas, bo niebawem z większą jeszcze gorliwością do prześiadowania polskiej sprawy się rzucił.

— Przekłete Polaki! Zabili mi syna, wzięli żonę, zakłócili spokój domowy — verflucht — popamiętaję mnie.

Tak mówił burmistrz, ilekroć wyjeżdżał na rewizję szlacheckich domów lub na czaty graniczne.

XIII.

Minęło lato.

Ani Francuz, którego się spodziewano, — ni Włoch, ni Austryak nie podali powstaniu ręki. — Dogorywało już... może raz jeszcze buchnie wysoko, aby zgasnąć na długo.

W okolicach Tooblina krząta się znów jakiś agitator, a tak zręcznie, że go podwójna czujność Niemców odkryć nie może.

Któżby to mógł być? Nikt nie wie. Raz, wieczorem, mignął burmistrzowi jakiś cień na koniu, a był tak podobny do Mieczysława, że stary Frankenberg zrobił znak krzyża, zanim krzyknął:

Halt, wer da!

Ale cień przeleciał z odwróconą twarzą, i utonął w ciemnościach lasu.

Pierwszy dzień listopada był uroczystym świętem w ratuszu. Dziś przysłano burmistrzowi z Berlina order czerwonego orła trzeciej klasy na pętlicy i patent na policyjnego radcę.

Udekorowany rycerz stał na środku kancelaryi patrząc z uśmiechem w zwierciadło, podziwiany przez Szulca, który z urzędniczego "reszpektu" nie wiedział jak i czy w ogóle stać.

Na fraku burmistrza połyskiwała gwiazda, — spoczywająca na samym sercu. Dla tej gwiazdy musiał ojciec i mąż wyrwać serec z piersi, a sumie-

nie uczciwego człowieka splamić; dla kawałka ozłonego srebra. Stary urzędnik — stare to dziecię. W chwili, kiedy się burmistrz przeglądał w zwierciadle, stawając w różnych pozycjach, aby gwiazdę lepiej widzieć, zapomniał o całej przeszłości.

Był rzeczywiście szczęśliwy.

Odwrócił się do Szulca.

— Jakie raporta? — zapytał krótszym tonem, jak przystało policyjnemu radcy.

— Panie kap...

— Panie radco — poprawił się Szule, wzrokiem pana zganiony.

Burmistrz uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Pan radco wie, że nieznanym agitator jeszcze wicherzy.

— Kanalia! — mruknął radca. Gdyby go można schwycić, bo z Poznania ciągle wołają, abym go dostawił.

— A może i...

Szule zatrzymał się, patrząc tajemniczo na pana.

— No?

— A może się i uda.

— Nie łatwa to sprawa, bo on czujniejszy od nas.

— A dostanę też order?

— Jeżeli pomożesz schwycić agitatora, podam cię sam do awansu.

— Hm. Czy to też prawdą?

— Słowo junkra niemieckiego daję.

— Teraz wierzę.

I zbliżywszy się do pana, szepnął Szule:

— Dziś w południe przechodzi nowy oddział za granicę, prowadzony przez samego agitatora.

— Więc marsz!

— Oto, pan radca gorąco kapany, a to tak nie można, bo oddział jest wielki, a nasza załoga rozbiegła się po okolicy.

— Posłać sztafety po wojsko.

— Nie warto. Agitator nie zostaje nigdy w Polsce, bo tu lepiej przydać się może. Przeprowadziwszy oddział, będzie wieczorem lub nocą wracał i powinien wejść na nas.

Burmistrz poklepał kaprała po ramieniu, — mówiąc:

— Będzie order, — Szule, — jeśli się sztuka uda. Chodzi tylko o to, abyśmy na pewno wiedzieli kiedy i którądy zwierz będzie wracał.

— Kiedy? dniem pewno nie. Gdzie? Wiem, bo koło chatki leśniczego w chojnowskich lasach.

— Zkąd tobie tyle dobrych wiadomości?

— Jakaś baba, której mąż idzie także, doniosła mi o wszystkim.

— Znalazła tedy i ślepa kura ziarno — wyrzekł burmistrz.

Wieczorem tego samego dnia przedzierało się sześciu jeźdźców przez gęstwiny chojnowskich lasów. Kiedy stanęli w pobliżu chatki leśniczego, — pięciu zsiadło z koni, rozsypując się wzdłuż rowu, który rozgraniczał Prusy od Moskwy, a szósty stanął na strzemienu obrzucając całą okolicę badającym wzrokiem.

Był to burmistrz z kapralem i czterema ułanami pruskimi.

Noc była dziś jasna. Księżyc, spokojnie na górze stojący, oświecał całą nowinę, której jedna część już należała do ziem moskiewskich.

Pruscy żołnierze stali cicho, wstrzymując oddech, jak na stanowisku. Lekko pochyleni, z wy-

suniętą naprzód głową, trzymali w ręku, oparłszy je na kolanach, krótkie karabiny.

Burmistrz stał na koniu z rewolwerem w ręku, a kaprał za panem swoim w rowie.

Czas włókl się bardzo wolno. Ilekroć się ptak jaki zerwał, drgnęli siepacze. Wyprawa dzisiejsza wydawała się nawet kapralowi zdradą. Sześciu uzbrojonych ludzi na jednego! Nierówna to walka. Ale ten order, ten order.

Wtem, na drugim końcu nowiny, jeszcze w Polsce, zarysowała się w półcieniach wieczora, księżycem osrebrzonych, postać jeźdźca.

— Ssst, er kommt! — szepnął burmistrz. — Achtung! — zwrócił się do żołnierzy. Gdyby na trzykrotne wołanie uciekał, strzelać.

Kiedy burmistrz ostatnie słowo wyrzekł, zdrzął dziwnym strachem.

— Cóż to? To pewno zimna jesiennego skutek — mruknął do siebie i napił się z manierki. Pewno zimno mną zatrzęsło.

Jeździec nie wychodzi na nowinę, ale trzyma się krawędzi lasu; postać jego ledwo widna za drzewami.

— Oto, ostrożny — myśli Szule.

Jeździec staje po kilkakroć, rozgląda się, nachyla, a za każdym poruszeniem brzęczy pałasz, — błyszczy rewolwer. Im postać bliższa zasadzki, — tem burmistrz niespokojniejszy, bo jakieś coś już głośno w nim woła: zbrodniarzu!

— Głupstwo, zbrodniarz, jeszcze czego...

I sięga do manierki i pije i znów sobie tłumaczy, że to zimno jesieni.

Jeździec zbliżył się na dwadzieścia kroków, a tak nieszczęśliwie, że stanął w samym środku czatujących. Znów zatrzymał konia, przechylił się w

siodle... patrzy przed siebie, ręką rozchyła gałęzie, ale postaci jego rozpoznać nie można.

— Halt, wer da!

Trzykrotnie odzywa się wołanie, a jeździec wspina konia i chce uchronić. Daremne staranie. Naokoło wyrastają ulani, a w rękę każdego błyszczy karabin.

Więc zmierza rewolwerem — błysk, huk — i kapral tarza się we krwi — jeszcze raz i jeden ulan pada w rów.

Już trzeci raz broń podnosi, ale teraz ubiega go sam burmistrz, który szybko, do jeźdźca wystrzelił.

Jeździec słania się na koniu, upuszcza rewolwer i pada na ziemię.

— Endlich! — mruczy burmistrz i podchodzi do nieznanego.

Jeździec leży na ziemi, twarzą w niebo zwrócony. Księżyc oświecił bladą głowę jego, z której się czapka zsunęła. Z piersi, z dwóch ran tryska krew szeroką wstęgą, a z kroplami jej uchodzi życie wielkiego i szlachetnego serca.

Burmistrz zbliża się, a kiedy stanął przy konającym, zbladł okropnie.

— Mieczysław! — zawołał.

Mieczysław otworzył oczy, a ujrawszy ojca, zasunął szybko powieki:

— Zdrajco, — mówią usta konającego — zejdź mi z oczu, bo nie mogę umrzeć. Niech żyje Polska, niech żyje!

Były to ostatnie słowa Mieczysława. Kilka razy jeszcze łyknął powietrza i skonał.

.....
A burmistrz? Na nie mu się przydały: order i awans, bo już nazajutrz odstawiono go do zakładu

dla obłąkanych, do Owińska, gdzie po dwóch latach umarł.

Wanda dotąd żyje i dotąd w żalobie chodzi, służąc razem z matką kochanka ubogim i potrzebującym.

Takie dziewice dochowują wiary...

KONIEC.



38620